

RYDWAN

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY
SPRAWOM TWÓRCZOŚCI
I KULTURY POLSKIEJ



K W I E C I E Ń
1 9 1 2

TREŚĆ ZESZYTU:

I. IDEE I KONCEPCYE.

- | | |
|---------------------------------------|----------------------|
| 1. W MYŚL WSKAZAŃ HUGONA
KOŁŁATAJA | WŁODZIMIERZ TETMAJER |
| 2. NEOPROMETEIŚCI | CEZARY JELLENTA |

II. PRZEGLĄD.

- | | |
|---|-------------------|
| 3. TEATR. „DEMOSTENES“ | TADEUSZ ŚWIĄTEK |
| 4. POEZJA I DOKOŁA POEZJI | TADEUSZ SZANTROCH |
| 5. XVI WYSTAWA „SZTUKI“ | CEZARY JELLENTA |
| 6. III WYSTAWA „ZWIĄZKU
ARTYSTÓW POLSKICH“ | CEZARY JELLENTA |
| 7. DOŚWIADCZALNA SALA
SZTUKI | JAN ZARYCZ |

III. SYGNAŁY.

- | | |
|-----------------------|-----------------------|
| 8. LITERATURA A ŻYCIE | J. ALBIN HERBACZEWSKI |
|-----------------------|-----------------------|
-
-

TREŚĆ ZESZYTU TRZECIEGO:

I. IDEE I KONCEPCYE.

- | | |
|--|---------------------|
| 1. PERSEFONA | TADEUSZ SZANTROCH |
| 2. POWIEŚĆ STOSOWANA ST. BRZOSOWSKIEGO | CEZARY JELLENTA |
| 3. WALKA O CZŁOWIECZEŃSTWO | STANISŁAW BACZYŃSKI |

II. PRZEGLĄD

- | | |
|------------------------------------|----------------------|
| 4. „REWINDYKACYE WŁASNOŚCI NASZEJ“ | MARCIN SAMLICKI |
| 5. KU CZCI ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO | ALF. |
| 6. WYSTAWA TOWARZYSTWA „RZEŻBA“ | EDWARD HOSZOWSKI |
| 7. AMBASADA MONIZMU W KRAKOWIE | KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI |
| 8. TEATR. „STRACEŃCY“ | JAN ZARYCZ |

III. SYGNAŁY.

- | | |
|----------------------------------|-----------------------|
| 9. UROCZYŚCIE SMUTNE REFLEKSJE | J. ALBIN HERBACZEWSKI |
| 10. ACH, ZAJRZEĆ W DUSZE BRATNIE | ADAM STODOR |
| 11. PIERWSZE ATAKI NA „RYDWAN“ | ALASTOR |

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

W myśl wskazań Hugona Kołłątaja.

Honor upadającej Rzeczypospolitej uratowała Konstytucya 3-go Maja i cały okres reform z nią rozpoczęty, a do dnia dzisiejszego trwający.

Jesteśmy jeszcze ciągle i będziemy jeszcze w tym okresie, którego początkiem jest dzień 3-go Maja 1791-go, a końcem będzie data odrodzenia narodu i dzień odzyskania politycznego bytu.

Dla tego ludzie końca XVIII w., postacie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, są nam tak bliscy, jak dzisiejsi lub zmarli przed kilku laty nasi politycy. I dla tego, każdy projekt reformy, w owych czasach zrodzony, jest projektem dziś jeszcze ciągle aktualnym, jest pytaniem, które do dziś dnia jeszcze nie rozwiązane, zajmuje umysły równie żywo, jak w chwili, kiedy je postawiono.

Organizm upadającego państwa polskiego, był mimo wszystko tak żywotny, że zdobył się na rewolucję myślową, tak, jak się na nią zdobyła Francya. I kto wie, czy nie dzięki rewolucyi polskiej, zwyciężyła i zawładnęła światem reforma Francuska, czy jakobini polscy nie byli oddziałem żołnierzy, posłanym na straconą czatę, aby zwrócić na siebie cały impet nacierającej nieprzyjacielskiej armii europejskiej koalicji, broniącej starego porządku, ginęli, ocalając śmiercią swoją, śmiercią polityczną państwa, francuskie reformy.

Te reformy znalazły w owe czasy oddźwięk w Polsce tylko. Ona to równocześnie z Francją poczuła potrzebę doniosłych zmian ustroju społeczno-politycznego, i w tych zmianach widziała dla siebie samej deskę ratunku.

Zdaje mi się, że porównanie upadającej i w imię szczytnych ideałów ciągle walczącej Polski, do oddziału wojska przeznaczonego na stracenie, następuje samo, i jest całą tragedją naszych porozbiorowych dziejów. Jest to typowy przykład dziwnego zbiegu okoliczności, które sprawiają, że Polska pada zawsze sama ofiarą swych doniosłych i szczytnych myśli, swych aktów historycznych, niosących postęp i rozwój.



Jeszcze dawniej, w czasach największego rozrostu nieograniczonej władzy królewskiej w Europie, kiedy pojęcie Rzeczypospolitej nieznanne jeszcze w świecie, Polska jest właśnie rzeczą pospolitą, stawia zasadę wpływu każdego obywatela na sprawy państwa, zasadę powszechnej równości i możliwości wyboru naczelnikiem państwa każdego obywatela. Zasady te wybujały w „liberum veto”, skrzywione przez Sycińskich, stają się jednakże grobem rzeczypospolitej.

Wyprawa wiedeńska Jana III-go ratuje od zagłady chrześcijańską Austryę, ocala państwo, które w niespełna sto lat później, roniąc krokodyla żywego, pierwsze podnosi rękę na całość państwa polskiego, i zajmuje jego południowe województwa już w r. 1769.

W czasach porozbiorowych powstań pisze polski walczący żołnierz hasło: „za naszą i waszą wolność” na sztandarach, na to, aby ci, za których wolność ginęła polska młodzież, rozpoczęli na jej trupach orgię ucisku i reakcji.

Reformatorska myśl polska jest tak potężną i tak pozytywną, tak dojrzałą, że państwa zaborcze zmuszone są, wchłonawszy Polskę w swe granice, zaprowadzać u siebie jej reformy. A czynią to na jej szkodę.

Z reform polskich korzystają najezdnicze ludy, a twórcza myśl polska staje się orężem przeciwko niej. Polacy, którzy reformę głosili, patrzą jak z tych reform korzysta kto inny, a sami czują tylko ucisk, jakiemu równemu nie było dotąd w historii.

Nie dość tego. W myśl przysłowia: „na pochyłe drzewo kozy skaczą”, nie ma dziś jednego narodu, jednego cudzoziemca, jednego pobratymczego ludu, któryby oddał Polsce sprawiedliwość, któryby uznał jej zasługę dla cywilizacji i wolności całego świata. Przeciwnie. Narody i państwa pamiętają jej tylko to, co było w niej złego. Wyolbrzymiają i przesadzają wady, w czem, niestety! — tak często pomagają im sami Polacy!

Rzecz pospolita nie żyje, a lada płaż, lada geszefciarz polityczny, lada doktryner, lada chłystek niedowarzony, lada zbrodniarz pluje w gardło i przekleństwem na jej imię. Grób Rzeczypospolitej zarósł zielskiem hańby.

Ale ziarno dobrego siewu nie przepadło.

Zeszło i rodzi nam dziś chleb, którym się żywić możemy, gdybyśmy tylko chcieli.

Niestety, nie zawsze chcemy, i nie zawsze umiemy.

Imiona Kościuszki i Kołłątaja są dla nas często pustem brzmieniem, słowa: „3-ci Maj”, „Komisya edukacyjna”, czcymy deklamacyjnym frazesem, używanym w efektownych mowach na różnych uro-

czystościach. Treści ich nikt nie zna, nikt się nie zastanawia, czem były te hasła i ci ludzie.

Stwierdzić trzeba, że chyba nie wszędzie i nie każdy naród zdobyłby się, w chwili upadku i walenia się państwa, na myśl rozpoczęcia natychmiastowego odrodzenia się, przez doniosłe reformy i przez hasło powszechnej oświaty.

Jeżeli Kościuszko, Dąbrowski i wodze trzydziestych lat przedstawiają naszych Leonidasów czy Temistokłów, to Kołłątaj jest twórcą wewnętrznego oporu przeciw klęsce, twórcą systemu, dającego nam dziś, po stu latach, skuteczną broń do ręki.

Ale, jak każdy przerastający głową współczesnych, nie był Kołłątaj ani zrozumiany ani ceniony.

Upadłe społeczeństwo współczesne bało się go, bo się bało radykalnych jego pomysłów i lekarstw. A nawet dziś jeszcze pamięta mu jego „jakobinizm“, co zresztą jest jasnym i niezbitym dowodem jego współczesności z nami, dowodem, że jego myśli i wskazania, jego plany organizacyjne i jego „Urządzenia“, mogą i powinny być podstawą dzisiejszych naszych polityczno-społecznych programów.

Dla tego też w sto lat po śmierci dopiero, oddają mu rodacy sprawiedliwość i przywracają do czci.

Cóż pozostało po oskarżycielach Kołłątaja? Po tchórzach, którzy bali się dopuścić go do rządu i władzy? Po urzędowych patriotach, obawiających się jego „jakobinizmu“? Co zostało po tych słabych mózgach, przestraszonych śmiałą twórczością lotnego umysłu?..

I kto miał prawo rzucać oszczerstwo i podejrzenie kradzieży na Kołłątaja?... Czy ci, co brali ruble lub talary? Czy ci, co służyli wrogom, aby zachować majątki, aby piastować urzędy?... Co sprzedali niezawisłość swojej ojczyzny?

Po tych wszystkich pełnych cnót obywatelach zostały tylko garści błota, po oskarżonym Kołłątaju zostały genialne jego myśli, i sława zbawcy honoru Rzeczypospolitej.

Szczęśliwszym od Kołłątaja jest Kościuszko. Ale i jemu odbiera się dzisiaj znaczenie, i jego starają się ludzie obniżyć. I znowu pytam, za co? Czy za to, że pierwszy u nas ogłosił republikańską równość, że pierwszy podniósł sztandar postępu, że pierwszy ruszył lud, że zaczął jego historię, jego życie polityczne, jego życie dla kraju?

Czy za to, że położył życie i zdrowie w obronie Kołłątajowskich idei?

Matejko, malując swego „Kościuszkę pod Racławicami“, umieścił

na obrazie postać Kołłątaja, choć on już od dwóch lat gnął w ołomunieckim więzieniu i nie widział zwycięstwa.

Kto uważnie patrzy w ten obraz, czyta jak z księgi dziejów historyczną myśl Matejki.

Kościuszko, ukochany, wielbiony bohater, symbol nowej Polski, co ma zmartwychwstać, zatrzymuje konia przed upojonem wojskiem i ludem. Ku niemu zwraca się naród cały z wdzięcznością, w niego patrzy z nadzieją. A za nim na koniu czarny ksiądz, patrzący z podełba, cieszy się wcieleniu swej myśli, zwycięstwu i ludowi, a w głębi duszy gryzie go robak zawodu, gorycz zapoznania i pominięcia, choć był on twórcą triumfującej w tej chwili idei.

I w tem leży cała tragedia Kołłątaja.

Jakkolwiek bądź, Kościuszko i Kołłątaj są twórcami i początkiem odrodzenia narodu, są przedstawicielami idei jego politycznego i kulturalnego bytu w przyszłości.

Oddajmyż należny hołd ich pamięci, a oddamy go najlepiej, roztrząsając ich zamiary, czyny i myśli, oraz starając się je pojąć, zgłębić i do dzisiejszych warunków zastosować.

Wystrzegać się jednak należy wszystkiego, co nie jest myślą twórczą, bo nam, w naszym położeniu, na same roztrząsania i rozpamiętywania pozwalać sobie nie wolno.

Kto chce się bliżej z nimi zapoznać, niech czyta dzieje.

My bądźmy pozytywni, wyzyskujmy każdą chwilę i każdą sposobność, aby roztrząsnąć własne polityczno-społeczne sumienie, znaleźć poradę na niedomagania i grzechy, postawić twórczy, płodny w owoce zamiar i plan działania.

Kościuszko i Kołłątaj przyszli z myślą odrodzenia i odbudowania narodu, przez światło i samopoznanie.

Czcząc ich cienie, przypatrzmy się, czy i my także nie możemy pójść śladem ich politycznych przykazań.

My, dzieci chwili obecnej, pracować musimy dla przyszłości, dla jutra, które jest w rękach tych, co przyjdą po nas, w ręku dzieci naszych.

Byt zatem, przyszłość i tęgość młodzieży, jest warunkiem odrodzenia, a środkiem dojścia do tego celu, jest wychowanie następnych pokoleń.

Myślą Kościuszki i Kołłątaja było, aby te następne pokolenia wyrosły z całego narodu, to jest, aby naród cały wraz z ludem, i przede wszystkim z ludem, wziął udział w pracy nad dźwiganie upadłej Polski.

Dlatego też rozpoczęli oni pracę oświatową, jako najważniejszy czynnik, mający powołać do życia politycznego miliony obywateli.

Ciemny i zaniedbany lud będzie zawsze tylko masą, niezadowoloną ze swego losu, krzyczącą, że się jej źle dzieje, usposobioną wrogo do wszystkich, co jego losu nie podzielają. Lud oświecony, uświadomiony, wyzbędzie się swego rozgoryczenia, stanowej ciasnoty pojęć, nabędzie pragnień tworzenia nowych warunków bytu dla całego narodu. Lud oświecony zrozumie ważność wszystkich czynników, składających całość życia narodowego. Z masy, chcącej burzyć, stanie się narodem, chcącym tworzyć życie państwowo.

Zatem, po chlebie codziennym, pierwszą i najważniejszą potrzebą każdego ludu jest światło, tj. dobra szkoła.

Wiedzieli o tym twórcy Konstytucyi, i myśl tę swoją przekazali nam, dziś żyjącym. Kazali nam wychowywać pokolenia na przyszłość.

Przypatrzmyż się tedy, jak teraz chowamy te pokolenia przyszłości.

Wtłoczeni w ramy ustawodawstwa narodów obcych, w niewygodny szablon, stworzony dla innych niż nasze mózgow i usposobień, nie mamy często możności wychowywania młodzieży tak, jakbyśmy chcieli, albo też nie mamy często dość odwagi, dość samodzielności, aby powiedzieć, że wychowanie nasze jest złe, bo dla nas niewłaściwe, nie mamy odwagi zerwać ze szablonem i przeciwstawić mu własnego typu wychowania, zdobyć się na twórczą myśl.

W jednej też tylko Galicyi moglibyśmy przy danych warunkach przeprowadzić część choćby tych zadań, i w jednej tylko Galicyi mamy wpływ niejaki na szkołę.

Ale i w Galicyi mamy typ szkoły, zgoła nie zastosowany do typu naszego, typ niemiecki, doktrynerski, który tłumi i bałamuci umysły dzieci.

Obok tego, typ naszej szkoły jest obliczony na to, aby uniemożliwić wytworzenie jednolitego społeczeństwa, opóźnić jego demokratyzację, i niedopuszczyć wielkich mas narodu do pewnego poziomu oświaty, który daje zrozumienie potrzeb kraju, ofiar dla niego i obowiązków, słowem, który wyrabia obywateli.

Jak dalece szkoła jest doktrynerską, jak daleką jest od możliwości rozwoju prawidłowego pojęć, rozumnego uczenia, posłuży przykład, każdemu chyba, kto kiedy do jakiegokolwiek szkoły chodził, znany.

Wiemy wszyscy, że dziecko, odkąd tylko zaczyna rozpoznawać co się dokoła niego dzieje, uczy się samo, i nabywa, między innymi

i tej wiadomości, że n. p. pies ma 4 nogi, głowę i ogon, a dom jest przykryty dachem. Zdaje się, że nikogo uczyć tego nie trzeba.

Tymczasem ileż to razy w naszej młodości dostawaliśmy złe stopnie za to, że nie umieliśmy naukowo odpowiedzieć, czy pies ma istotnie 4 nogi, i czem przykrywają ludzie swe domy!!

Niemiec bowiem ma skłonność do ujmowania wszystkiego, najdrobniejszej nawet rzeczy w teorię, zatem i fakt, że pies ma 4 nogi, ujęty być musi w teorię i poważnie, *ex cathedra* głoszony.

Może to jest potrzebnem dziecku niemieckiemu, ale dzieci nasze, słuchając poważnych wywodów nauczyciela o czworonożności psa, wątpić poczynają, czy to rzeczywiście o takim stworzeniu mowa, jakie one od dawna znają, tracą głowę, plątają się zestraszone powagą miejsca i uczącego, i długie godziny uczą się w domu z książki, że pies ma 4 nogi, a że dom przykryty jest dachem.

Główną przyczyną tego doktrynerstwa naszego jest zmieszczanie szkoły. Mieszczanństwo, którego panowanie rozpoczęło się od rewolucji francuskiej, a u nas od powstania 1863, przyniosło nowe wartości i zasady polityczne, nie zawsze trafiające w myśl i typ polski, bo zbudowane na szablonie ogólnomiejskim, międzynarodowym. Mieszczanństwo jest tak różnem w życiu od reszty kraju tj. od ludu kraj zamieszkującego, tak dalece zasklepieniem w swych murach miejskich i interesach, że np. burzę i deszcz zna lepiej z literatury niż z doświadczenia, że chłodny wiatr daje mu nie zdrowie i tęgość, ale zaziębienie, że nie rozróżnia często żyta od pszenicy. Za to pogląd na świat i życie wyrabia sobie mieszczanin z literatury, przeciwnie jak chłop, który o świecie zewnętrznym nabiera pojęć z objawów przyrody, w której żyje. Oczywiście więc i wychowanie narodowe obmyślane przy zielonym stoliku, przez fachowców bez fantazyi ani znawstwa tych, których wychowywać mają, musi być zupełnie doktrynerskie. Nie może spełniać swego zadania, bo nie uwzględnia typu ludu polskiego, nie uwzględnia tego, co lud wie lepiej od teoretyków, wie bez ich nauki.

Wskutek tego działa szkodliwie, bo, nieuwzględniając właściwości ludzi, żyjących na wsi, lekceważąco ucząc ich swego tylko rozumu, przeszkadza wytworzeniu się przewodniej, głębokiej i daleko sięgającej, jednym słowem wielkiej i podniosłej chłopskiej idei. A tylko istnienie takiej idei, tylko uzależnienie od niej przyszłości narodu, może poruszyć masy chłopskie, zrobić z nich twórców swej ojczyzny, jak chciał Kościuszko i Kołłątaj.

Teraz wygłoszę pozorny paradoks, za co można by mnie wykląć, gdybym się następnie nie postarał wyjaśnić mych pojęć.

Otóż twierdę, że ze słownika polskiego wykreślone być powinny, jako pojęcie wsteczne, stanowe i zabójcze społecznie, dwa wyrazy: „Szkoła ludowa“!!

Światło jest jedno dla wszystkich, tak, jak woda, ogień i powietrze.

Każdy obywatel państwa ma prawo do spożywania chleba, który się na ziemi tej rodzi, i prawo do pewnego zasobu wiedzy, do pewnej ilości światła.

Z drugiej zaś strony, państwo i naród żąda, potrzebuje i stara się wychować, obywateli, którzyby o losie swoim i państwa stanowić byli zdolni.

My zaś marzymy o wielkim cudzie, o odrodzeniu Polski przez lud, marzymy, że lud ten stanie się kiedyś obywatelem świadomym swych obowiązków i praw wobec Ojczyzny, że Naród nasz stać się powinien „posągiem z jednej bryły“!

Marzymy!! tak! marzymy!!! Ale dla ludu mamy inną i to gorszą szkołę niż dla innych!

Hej! Księżu Podkanclerzy Kółtaju!!! Co byś powiedział?

Otóż logicznie myśląc, każdy stwierdzi, że szkoła nie powinna być ludową, czy nie ludową, ale powszechną dla wszystkich obywateli państwa, tak jak chleb, woda i ogień.

Dla kogoż stawiamy licznie rozsiane gimnazya po małych miastach, gimnazya, gdzie 90% jest synów włościańskich, te gimnazya, do których dostać się nie można ze szkołą ludową?

I jakąż to ta szkoła ludowa, gdzie dziecko, po 6-ciu latach nauki, nie umie czytać i pisać, gdzie wyuczywszy się w końcu na pamięć tabliczki mnożenia, nie umie liczyć w praktyce?

A potem, gdy już mimo wszystko młodzież stanie przed szkołą średnią, rozpoczyna się dopiero znieprawianie systematyczne jej mózgow.

Który bowiem z ojców ma prawo stanowić o urabianiu mózgu i przyszłości dziesięcioletniego dziecka, kiedy zgoła jeszcze nie wiadome są jego skłonności i uzdolnienia?

Człowiek tworzy się w okresie t. z. pubertatis, przejścia z dziecka w młodzieńca, wtedy ujawniają się jego zdolności, wytwarza charakter.

Tymczasem, w tym wieku jest on już od lat 4-ch wtłoczony i pchnięty na drogę, którą pójdzie już do końca życia. I jakże często matematyk, inżynier, tonie we filologii, a literat z urodzenia zostaje geometrą! Choć w gruncie rzeczy, to wszystko jedno! bo szkoła nasza ma jedną kardynalną wadę, nie wychowuje ludzi ani obywateli. Jest niemiecką, więc jest zakładem wykonywania fachu nauczania.

O innej szkole myślał Ksiądz Kołłątaj! Innych zasad konstytucyi bronił Naczelnik Kościuszko!

Ale krytykować łatwo! Czyn to zresztą tylko negatywny.

Spróbujmy więc dojść do rzeczy dodatniej, rzeczywistej, spróbujmy zbudować pojęcie szkoły pożytecznej, odpowiadającej typowi społeczeństwa i czasom, w których żyjemy. Spróbujmy na podstawie idei Kołłątajowskich, oczywiście *mutatis mutandis*.

Ale przedewszystkiem spróbujmy to uczynić na podstawie prostej logiki.

Ponieważ człowiek uczy się dzieckiem i dzieckiem nauczyć się wienien pierwszych zasadniczych pojęć i wiadomości — ponieważ dalej, jest on dzieckiem aż do jakiegoś roku 15-go czy 16-go, przeto logicznie, od początków, od chwili, w której uczyć się zaczyna, aż do chwili, w której kończy okres swego dzieciństwa, powinien być w szkole, która kształci i rozwija dzieci. Zdaje się, że to jasne.

W tej szkole powinien być każdy bez wyjątku obywatel państwa, bo każdy ma prawo i obowiązek kształcenia swych dzieci.

Zatem, znowu logicznie, szkołą pierwszą jest szkoła powszechna, w której uczą się wszystkie dzieci od jakiegoś 8-go do 16-go roku życia.

Jakie ta szkoła ma zadanie? Odpowiemy:

1. Szkoła ta ma dać wiadomości i poziom oświaty, który każdemu bez wyjątku obywatelowi jest potrzebnym na całe dalsze życie.

2. Szkoła ta ma przygotować dzieci, aby były uczciwymi ludźmi i dobrymi obywatelami państwa czy kraju.

Zatem: Obejmuje zasób wiadomości, człowiekowi potrzebny, tj. uczy czytać, pisać i poznać to, co człowieka otacza.

Ponieważ zaś człowieka otaczają naprzód: ludzie a potem przyroda, musi tedy człowiek młody dowiedzieć się, jaki jest stosunek jego do ludzi, a jaki do przyrody.

Stosunek jego do ludzi objaśnią mu zasady prostej etyki i cnoty, znajomość dziejów ludzkich, a stosunek jego do przyrody objaśni mu znajomość przyrody.

Przyroda jest żywiołem, w którym się poruszamy jak ryby we wodzie. Przyroda jest punktem wyjścia i wzorem wszelkiej mądrości na świecie, jest jedyną prawdziwą filozofią, jedyną logiką.

Zatem trzeba ją znać, trzeba z nią się znać, trzeba żyć według jej praw. Dla tego uczyć młodzież przyrody! Ale nie z książki tylko! Zapoznać ją z przyrodą przez bliskie zetknięcie, przez objaśnienie zjawisk, przez empiryczne, a później teoretyczne poznanie jej królestw.

Ileż to dzieci nie umie rozróżnić jabłoni od wiazu, wilczej jagody

od borówki, owsa od pszenicy! I na odwrót, ileż to dzieci wiejskich nie dowiaduje się wcale o swoim stosunku do innych ludzi, o początku i rozwoju swego narodu, o właściwościach kraju!

Ileż to dzieci recytuje jak papuga na pamięć całe ustępy z książek, gra teatry amatorskie i ma przesadzoną fantazyę, a boi się żaby, zmierzchu, pioruna i deszczu, a nie da sobie rady na rozstajnej drodze, jest niedołągą życiowym! starem niemowlęciem!

I znowu na odwrót: ileż to dzieci wiejskich życiowo, fizycznie samodzielnym, ma mózg zupełnie nie rozwinięty, barbarzyński, dziki!

Szkoły jednej dla wszystkich obywateli państwa, szkoły nie doktrynerskiej ale żywej, szkoły, równającej już od dziecka wszystkich Polaków, nam trzeba!

Nie tu czas i nie miejsce na szkolne programy. Idźmyż więc dalej.

W wieku dorosłości występuje zdolność i zamiłowanie w różnych kierunkach. Młodzieniec, po ukończeniu szkoły powszechnej, idzie albo do zawodu, do roli lub rzemiosła, albo do szkoły średniej, w której, wedle zdolności i upodobań, przykłada się więcej to do wiedzy humanistycznej, to do realnej.

I znowu trzeba by tę szkołę inaczej urządzić!

Szkoła początkowa i pierwsze cztery lata szkół średnich stopiły by się w jedną całość, szkołę powszechną.

Następne lat cztery stanowiły by szkołę średnią, przygotowującą młodzież do zawodowych studyów w szkole głównej, czyli Wszechnicy.

Dotychczasowe, jednostronne, literacko-filologiczne wychowanie odbiera młodzieży tęgość życiową i myślową, usposabia ją do marzycielstwa, albo rozleniwia myślowo, pchając na łatwą drabinkę urzędniczej kariery, albo też w świat przesubtelniejszych wzruszeń. Szkoły nasze średnie wychowują nam snobów, Alkibiadesów i Petroniuszów, rozmiłowanych w kłótni i w lutni ateńskich szalbierzy i dyletantów politycznych, a nam trzeba by raczej Rzymu, Grakchów i Scypionów.

Z drugiej strony, szkoły realne wyjaławiają już za nadto umysły z kulturalnych pragnień, specjalizują młode mózgi od dzieciństwa, nie dając ogólnego wykształcenia.

W lat cztery, szkoła średnia, gdyby tylko urządzili ją nie według średniowiecznych, scholastycznych kanonów, zapozna młodzież i z łaciną i ze światem starożytnym i z matematyką oraz przyrodą o tyle, że w uniwersytecie będzie ona mogła stanąć przygotowana zupełnie przed majestatem wiedzy.

Ale już ta szkoła średnia winna nie tylko kształcić ale wychowywać obywateli. Winna zapoznać młodzież ze stosunkiem jednego

do wszystkich obywateli, do ich milionów, jako do narodu, ze stunkiem do państwa i kraju, w którym żyje.

Uczymy teraz młodzież niezmiernie szczegółowo ustawodawstwa Lykurga, ale nie dajemy jej najmniejszego pojęcia o ustroju społeczno-politycznym własnego społeczeństwa. Młodzieniec wie doskonale, jaki zakres władzy mieli starożytni archontowie greccy, ale nie ma wyobrażenia o zakresie władzy marszałka krajowego.

Narzekamy słusznie, że młodzież nasza za mało w szkołach się uczy, a za wcześnie zrywa się do politycznych spisków i t. d. Z tym systemem szkolnym nie może być inaczej. Ruchliwsze umysły nie mogą wytrzymać w scholastycznej nauce i lekceważą ją. Dajmy im wiedzę nowożytną, wiedzę pozytywną, wiedzę która je zajmuje, a zamiast robić przedwcześnie reformatorów społeczeństwa, przygotuje się młodzież do prawdziwej umiejętnej reformatorskiej pracy, którą rozpocznie w okresie dojrzałości.

A teraz, powołamy słowa Kołłątaja: „Systema edukacji takie zaprowadzić należy, aby przez nie w narodzie obudzić ducha... zrobić go powszechnym, we wszelkich klasach, inaczej ten kraj długo nie obstanie...”

Narzekamy na zaniedbanie fizyczne młodzieży i jako remedium dajemy jej bezmyślne sporty, pochłaniające jej myśl do tego stopnia, że kwestya kopnięcia piłki jest dla młodzieńca ważniejszą od sprawy publicznej, dziecinne saneczki, przystojne dziewięcioletnim, ważniejsze od zajęcia się sprawą obrony praw obywatelskich.

Francya wie o tem dobrze, tworząc swoje „bataillons scolaires”, wiedział o tem dobrze Kołłątaj, pragnąc wychować młodzież nie na gimnastyków, bramkarzy lub bilardziarzy, ale na zdrowych, trzeźwych umysłowo, tęgich życiowo, świadomych celu obrońców swoich i praw narodowych i obywatelskich.

Dzisiaj, w stuletnią rocznicę śmierci Kołłątaja, zaczyna panować przekonanie, że zbyt daleko odepchnęły nas burze dziejowe od jego reformatorskiej myśli, że trzeba nam się tą myślą odrodzić, bo źle się dzieje.

I z cieniów toni dziejowej wyłania się postać genialnego księdza, niosąc nam lekarstwo na niemoc, w postaci nowej myśli społeczno-politycznej.

Chowajmyż w jego myśli młode pokolenie, a zdobędzie się ono kiedyś, dojrzawszy, na tę cywilną odwagę zerwania ze starym systemem, na jaką nasze pokolenie zdobyć się nie umiało.

WŁODZIMIERZ TETMAJER

Posel Ziemi Krakowskiej.

Neoprometeiści.

IDEA SCHOPENHAUERA.

Nazwałem ongi Prometeistami („Wszecypoemat i najnowsze jego dzieje — Prometeiści“) plejadę twórców, która po przewrocie politycznym i duchowym, znaczącym koniec XVIII i początek XIX w., opiewała rokosz przeciw potęgom ciemństwa i sprawcom niedoli. Twórcy owi mimochcąc a zgodnie, znać wskutek utajonego a silnego pokrewieństwa, za protoplastę swego uznawali Prometeusza. Byli to Byron, Goethe, Shelley i inni pomniejsi, oraz szczególnie jaskrawe chociaż przelotne i krępowane mocnym przywiązaniem do wiary odbicia prometeizmu u Mickiewicza i Słowackiego. Dzisiaj możnaby dodać: i Norwida.

Neoprometeistami nazywam plejadę inną. Plejada to twórców i filozofów, którzy nieco później i aż po dzień dzisiejszy, chwalą nowego Boga — urodzajnej natury życia i nieskończonej tęgości życia, Boga płodnej tragedii, entuzjazmu, mocy i energii ducha. Nie jest to już walka z przemocą i niewolą, ciężącą nad ludzkością, a jeśli walka to z czemś innym, całkiem wolnem od treści politycznej i społecznej, a przeto i większem — walka szerszej idei. Idea wzmożonej i zachwyconej choćby tragicznie i heroicznie energii życia, wypiera ideę śmierci, słabego smutku i tendencji do zubożenia i zmniejszenia człowieka.

Wszyscy neoprometeiści: Schopenhauer, Nietzsche, Guyau, Ibsen, Wagner, Ruskin, z każdym dniem rodzący nowych potomków, jak Bergson, są jeszcze wierni pamięci Prometeusza, biorą go jednak i czują zgoła inaczej: jako dawcę ognia życia ze wszystkimi jego bujnemi żywiołami, jako symbol afirmacji istności ludzkiej.

Żałobny i nawet cmentarny nastrój sztuki nowoczesnej jest przyczyną, że twórców tych wciąga się w koło swego nekrofilstwa i uważa — przynajmniej większość ich — za należących do tej samej rodziny chwalców uroku śmierci. A tymczasem w nich biją — cał-

kiem naodwrot — potężne źródła życia, siły i entuzjazmu i roztaczają się nowe obszary twórczej bujności i heroizmu. Te zostały całkiem przeoczone.

Zadaniem pojedynczych fragmentów Neoprometeizmu na tem miejscu, jest szkicowe zobrazowanie właśnie owych nowych ostoi i wartości bytu, przedstawienie w nich nowej formacji dusz, oraz rzucenie światła, zaczerpniętego z ich rzeczywistej natury.

*

Twórca Świata jako woli i przedstawienia stanowi według pojęć utartych i powszechnej tablicy wartości najbardziej krańcowy wyraz pesymizmu. W nim skupiła się wszystka ostrość i bezwzględność krytyki życia, wyhodowanej w epoce chrześcijańskiej. On to najgłębiej czuł i najmocniej wypowiedział, że Dante Alighieri, póki malował piekło, mógł być pomysłowym i wielkim, bo miał wzory w rzeczywistości, lecz gdy zaczął opiewać niebo, znalazł się wobec pustki i zupełnego braku materiałów i musiał ją zapełniać morałami Beatryczy. Nie wdając się w to, czy Schopenhauer wpływał na poetów śmierci i rozterki z życiem, a jeżeli, to w jakim stopniu wpływał, uznać wypada, że u niego w najsilniejszym skondensowaniu i z najsilniejszą samowiedzą wystąpiła tak zwana negacya życia. Wśród podobnych sobie cierpkim zwątpieniem sterczy i sięga głową najwyżej. Tamci, a tembardziej inni, mniejsi, tu nienazwani i nie przytoczeni, są przeważnie myślicielami z intuicji tylko i z konstrukcyjno-metafizycznego popędu, z instynktu poetyckiego.

On — surowy, ścisły, nieubłagany w swej logice i konsekwencji, uczony i filozof, wróg i okrutny szyderca filozofii dyletanckiej lub zawieszanej w powietrzu, zbudował na owem przeczeniu przepotężny gmach z żelaznych materiałów wiedzy, zda się, urągający wytrzymałości mózgu ludzkiego, a spokojny wiązaniem tęgości budowlanej.

I dla tych zasadniczych różnic w stopniu odpowiedzialności i filozoficznej powagi, za wierzchołek najwyższy w łańcuchu nie może być uważany np. Giacomo Leopardi, także bystry i dosadny, i rozumowo wyszkolony na miarę więcej niż poetycką, w negacyi zaś jeszcze bezwzględniejszy i bardziej tragiczny. Leopardi bowiem nienawidził życia złośliwie, więcej sercem niż umysłem, jednostronnie grał rolę genialnego, sarkastycznego oskarżyciela i zdierał zasłony z mniemanych uroków bytu i szczęśliwości w ten sposób, że zniechęcał nietylko do nich, ale i do siebie. Nie dawał tych wielkich obszarów zagadnień wielolicznych, któremi Schopenhauer darzy z szczodrobliwością oszała-

mającą, i nie nagradzał zgrzytów swoich tą — ani wogóle inną — pełnią życia duchowego. Leopardi, jak cmentarny cyprys, nudził się nudą kosmiczną, pożerającą, i usychał z beznadziei; — nawet gdy tworzył swe bezcenne dyalogi o wiekuiestej nudzie, cierpiał za bardzo realnie i za mało nadczłowieczo. Jego boleść, smutek i bezotucha mogły wywoływać również boleść i bezotuchę, ale nie byłyby w stanie poddawać idei twórczych i rozszerzających ducha i człowieka, i nie mogłyby wskutek swej tendencyjności czarnego zabarwienia oddziaływać na umysły bogate i syntetyczne.

Jak olbrzymi, wieloramienny dąb, stoi w pośród pokrewnych sobie Schopenhauer, jak dąb wiekuiście zielony i świeży.

A tę jego żywotność zaznaczając, już tem samem ułatwiamy domysł, na czem polega jego druga doniosłość.

Schopenhauer nie jest tylko tym, za kogo go biorą; jest nie tylko przecycielem życia, ale i jego obrońcą; nie tylko larwę z niego zdziera, ale i niepokonaną potęgę jego odsłania; wprowadza do Sezamu skarbów złowrogich, ale i skarbów ciekawych i nieprzebranych. On do życia nietylko zniechęca, ale i przykuwa, i to magnetycznej siły więzami. Jego rola wobec życia, mocy, woli, twórczości, nie jest taką prostą, jednolitą, jak się zdrowemu rozsądkowi opinii wydaje.

I dla tego nie zamierzchnął on w przeszłości i w dziejach myśli, jak krótki, żałobny nastrój, ale owszem, żyje i trwa i nawet kwitnie. Nie usuwa się w historię jak widmo, co się ukazało na krótką chwilę nocy, lecz owszem, wysuwa się na przód widowni, z przemozną, despotyczną energią. I w takim stosunku zostaje do całej plejady inteligencji czynnych, twórczych i życionośnych, że w pewnym stopniu protoplastą ich nazwać by go można.

Już u samej podstawy systemu Schopenhauera, u samego progu, niedwuznacznie daje o sobie znać siła dodatnia. W samym już stosunku do Kanta, z którego, jak twierdzi i jak często składa tego świadectwo, wywodzi się, — w tej przegrodzie, którą między nim a sobą położył, widoczny jest krok ku czemuś mniej bezdennemu i więcej pochwytnemu.

Teorya poznania Schopenhauera nie wiedzie do takiej rozpaczliwej, ostatecznej względności, do takiego wyrocznego relatywizmu, jak teorya Kanta. Twierdzenie, że rzecz sama w sobie jest niepoznawalną, że wszystko, co intelekt nasz ujmuje, ujmuje podmiotowo, to znaczy: pod formą czasu, przestrzeni i przyczynowości, zostało ograniczone i nadwątlone.

Dla Schopenhauera rzecz sama w sobie jest poznawalną. Tą rzeczą

jest Wola. Ona — jestestwem świata, który na zewnątrz, w przedstawieniu naszego umysłu przybiera postać wszechrzeczy. „Głębiej wnikające rozważanie prowadzi do przeświadczenia, że we wszystkich swych zjawiskach jestestwo wewnętrzne, to, co się objawia na zewnątrz, co się manifestuje, jest czemś jednym i tem samem, co występuje coraz to wyraźniej, i że tedy to, co się przedstawia w milionach kształtów o nieskończonej rozmaitości i układa w jak najbardziej pstre i barwne widowisko bez początku i końca, jest owem jednym jestestwem, które tkwi poza wszystkimi owymi maskami“.

Gdyby świat był tylko naszym wyobrażeniem, przedstawieniem, przesuwałby się przed nami, jako bezistotowy, upiorny miraż, niegodny naszej uwagi.

„Z zewnątrz do jestestwa rzeczy nie dotrzemy nigdy: jakkolwiekbyśmy dociekali, nie zdobędziemy nic prócz obrazów i imion. Jest się podobnym do kogoś, co obchodzi zamek dokoła, daremnie szukając wejścia, i tymczasem jeno szkicuje fasady“.

Schopenhauer jednak mniema, że to wejście znalazł. Znalazł je w bezpośredniej, wewnętrznej pewności indywiduum, że jest ono nie tylko podmiotem poznającym, lecz i czemś ponadto, co nazywamy wolą. Ona jest istotnym, niezaprzeczoną gruntem naszej istoty. Wyczuwamy ją w sobie, jako źródło wszystkiego, jako to, czego czynności nasze i ruchy dla spełnienia chcień są jedynie zewnętrznym cielesnym objawem. Wola jest czemś pierwotnym i pierwszym w porządku naszych pocuć. Wprzód istnieje ona jako sprężyny i koła naszego życia, a potem dopiero przybywa nasza władza poznawcza, która ją spostrzega. Wprzód istnieje Wola, a potem dopiero zwierciadło, w którym się ona przegląda, nasza świadomość — samowiedza.

Wola jest we wszystkich bytach zwierzęcych czemś pierwszym i substancyjnym, natomiast intelekt — czemś wtórem, przybyłym zewnątrz, więcej nawet, narzędziem poprostu w usługach tamtej.

Cała przeszłość filozofii kładła na czele istoty ludzkiej władze poznania, prawdopodobnie pod wpływem tradycji chrześcijańskiej i dążności do uszlachetnienia i wywyższenia człowieka ponad inne zwierzęta („Vom Primat des Willens im Selbstbewusstsein“), — Schopenhauerowi zmysł wewnętrzny odkrywa przedewszystkiem jako bezwzględnie pierwsze wole.

Gdzieindziej wypowiada to jeszcze w ten sposób: Gdy zacieramy do naszego wnętrza, znajdujemy siebie jako chcących; jeno, że chcenie posiada wiele stopni, od najłżejszego życzenia aż do namiętności, i nie tylko wszelkie afekty, ale i wszystkie te zewnętrzne poruszenia

nasze, które podciągamy pod rozległe pojęcie uczucia, są stanami woli. I właśnie dlatego nie podobna określić ani opisać, co to jest chcenie, że ono stanowi najbezpośredniejsze nasze poznanie; „podmiot woli dany jest naszej samowiedzy bezpośrednio“.

Wola więc, jako rzecz sama w sobie, stanowi wewnętrzną, prawdziwą i niezniszczalną istotę człowieka: sama przez się jest jednakowo nieświadomą („Vom Primat des Willens“). Stanowi ona również istotę wszystkich innych stworzeń i rzeczy, jest ich metafizycznym rdzeniem, który w zjawiskach świata, przedstawiającego się nam, ma swoje objektywacye, zupełnie tak samo, jak działalność ciał ożywionych „nie jest niczem innym, jak uprzedmiotowionym (zobjektywizowanym), tj. weszłym w postrzegalność aktem woli“ („Die Objektivierung des Willens“).

Wola też, skoro już jest rzeczą samą w sobie, nie podlega żadnym koniecznościom, ciężącym nad jej objektywacyami, czyli nad światem, jako przedstawieniem. Nie stosuje się do niej ani prawo przyczynowości, ani prawo czasu i przestrzeni, które sprawia, że świat zewnętrzny staje przed nami jako nieskończona wielość zjawisk, rozciągłych a trwających.

Tak więc, z samych już tych najogólniejszych i najbardziej szkicowych zarysów wypływa jasno, że Schopenhauer znalazł pewien punkt oparcia w mgławicy poznania i w labiryncie niepewności. I aczkolwiek Wola jego jest substancją bezwiedną, a co zatem idzie, bezcelową, głuchą i ślepą, to jednakże przez nią płynny i chwiejny stan naszej świadomości wobec zagadki świata nabiera stałości i krystalizacji.

Ta ostoja wśród odmętu, choć surowa i w działaniu swem brutalna, jest bądź co bądź rzeczywistą opoką i przystanią. A niemniej ważnem jest i to, że w niej tkwi moc, potęga, życiorodność. Cokolwiek się z tej Woli wykluje i jakiegokolwiek następstwa z niej wyciągnie myślenie, to pewne, że świat przez takie jestestwo swoje metafizyczne zyskuje na wyrazistości i intensywności, a filozofia, która jego jest odbiciem, cechuje się już zawczasu jednością i energią. Już do niej nie stosuje się przydomek „głowa aniołka ze skrzydłami, a bez ciała“, systematycznie nadawany przez twórcę Świata jako Woli — wszystkim naukom i poglądom, opartym jeszcze na świadomości poznawczej.

Jakkolwiek Wola jest bytem metafizycznym — owo *a priori*, które ją Schopenhauerowi odkryło i odsłoniło, droga rozumowa, którą on ku niej przebył, jest spekulacją całkiem swoistą i odrębną, i nie należy jej stawiać w jednym rzędzie z spekulacjami innych filozofów. Wolę tę potrafił on z serca istnienia jak ogień z popiołów wygarnąć,

i potem wszędzie w najśrodkowszem palenisku umieścić. W jakikolwiek sposób ustalił jej fakt, to pewna, że uczynił go pętającym jak najpotężniejsza nietylko suggestya, lecz i świadoma siebie, wyrozumowana kategoria, — zrobił go nieodpartym.

Nie tylko każdy czujący rozkazowość życia i musu życiowego, idei tej Woli da posłuch, a nawet zarliwość swoją, lecz i każdy przyrodnik i każdy znawca samowładzy rodzącej natury, i każdy umysł, przekładający prawdy mocne nad chwiejne, i każdy poeta obdarzony zmysłem wartości da się jej pociągnąć.

Niezależnie od wszystkich dowodów, jakie daje sam wgląd w siebie, Schopenhauer Wolę swoją obwarował tem, że osadził ją na powszechnej glebie ludzkich przeczuć i pewności. Oparł się na wszystkich świadomych jak i bezwiednych wyznaniach mędrców, apostołów, proroków, założycieli religii, wielkich poetów i artystów. Poparł swoje empiryczne zestawienie surową logiką rozumowania, psychologiczne i biologiczne nurkowania w toni bytu — jakimś plebiscytem wybranych dusz. Nie jeden przeciwnik doktrynalny metafizyki musi się ukorzyć przed owem świadectwem ducha powszechnego. Niejedna wielka mądrość, którą wypielegnowały obce ludy i lądy, cywilizacye i religie, przyniosła potem uderzające potwierdzenie słuszności.

W ośm lat po ukazaniu się dzieła Schopenhauera, wyszła praca o metafizyce chińskiej, w której podano poglądy największego syntetyka wiedzy chińskiej Czu-fu-tse, wprost oszałamiająco identyczne z teorią świata jako woli. Powiedziano tam, że duch natury nie może być nazwany nieinteligentnym, ale nie ma też żadnego podobieństwa z myśleniem ludzkim: „Ducha wieków wyprowadzić należy z tego, co jest w rodzaju ludzkim wolą“. Schopenhauer sam jest tak rażony tą zbieżnością poglądów, że aż się niepokoić zaczyna, ażeby mu nie uczyniono zarzutu naśladownictwa.

W takie wyniki wytrawnej, wielowiekowej mądrości, Schopenhauer wierzy i zgarnia skrzętnie wszelkie jej dorobki, o ile tchną głębią i siłą przekonania. Natomiast zwyczajnie poniewiera teoryami, budowaniami na piasku, i wszelkimi tęczowemi koncepcjami metafizyki nowoczesnej. Racyonalizm Descartes'a, który wymyślił wybraną i uprzywilejowaną wiekuiistą duszę ludzką — i wyrwał człowieka z równouprawnionego gminu przyrody, lekceważy. Niemniej — Spinozę, za to, że przez swój panteizm, łączący w jedno Boga z naturą, nic nie wyjaśnił, a tylko połączył, co mu już za zasługę poczytuje — rozdwojone żywioły. Bezmiernie wielbi Kanta za odkrycie kategorii subiektywnego poznania, lecz bezmiernie srogi jest dla kategoriycznego imperatywu i prakty-

cznego rozumu, które uważa za zamaskowaną teologię, z jej ufnością w dobre, boskie natchnienie człowieka do czynów moralnych. Dla Hegla ma wzdargę, jako dla krętacza, matacza i błazna (sic!), i z zawziętością nie tylko osobistej nieprzyjaźni, lecz i widocznego antagonizmu typów — stawia setki razy pod pręgierzem śmieszności i przed sąd uczciwości. Nie ma człowieka, któregooby tak ze skóry odzierał na każdej niemal stronnicy, za szumne terminy, abstrakcye i bałamucenie, jak w swej zaciętości mniema, za napiętrzone pretensjonalnie konstrukcye „ducha absolutnego“ — jak Hegla.

A z powodu, że Fichtego, który etykę Kanta „zaciemniał i w cień usuwał napełnionymi wiatrem superlatywami“, wynoszą pod niebiosa — trawestuje dwumian: Kant i Fichte na — Hercules et simia („Grundlage der Moral“) itd.

Wszelkie „absoluty“, a nawet Nirwany zapożyczone od ukochanych przezeń mędrców - poetów Wedyckich, ma za czczą frazeologię, za beztreściowe sztandary metafizycznej retoryki i stale stosuje do nich jako termin techniczny: kukułcze gniazda w obłokach (Wolkenkuckshheim).

Nienawidzi on optymistycznych, wiele obiecujących chwalczych dogmatów i koronacyi metafizycznych. Nie z gotowemi aureolami i gloryjami wchodzi na niebo, lecz złoto swych prawd wykopuje dopiero z łona ziemi i wytopia w piecu trzeźwo, pracowicie, z nieubłaganą jasnością myśli.

Chociaż oblicze świata w rozumieniu Schopenhauera nie ma w sobie nic boskiego, ani celowościowo chwalebne, lecz w niem na miejsce Boga przybył niewątpliwie wszechpierzwiastek czynny i działalny, w mnożeniu i płodzeniu zjawisk niesyty i niepoohamowany.

Już tu się rysuje znamienne indywidualność samego twórcy i jego górująca nad wszystkim skłonność do mocy, wola mocy, by użyć wyrażenia jego własnego produktu duchowego — Fryderyka Nietzschego, a w każdym razie wola woli, wola przyczyny tworzenia i stawiania się.

*

Tej mocy zdziaływania, sprawiania, tchnionej przez Schopenhauera na świat, nie osłabia bynajmniej jego wyrok potępienia rzucony na Wolę. Przy całej swej bezmyślności i nieogarnionem złem, które z sobą przynosi na świat, wypełnia go ona życiową potęgą i bezbrzeżnym a wiecznotrwałym procesem i przykuwającym uwagę kalejdoskopem jawy.

Gdy taki panteizm Spinozy zawiera jakoby obietnicę wszechbóstwa, a w gruncie rzeczy jest systemem geometrycznie oderwanym, dziwnie mocnym, lecz i dziwnie nieruchomym, Wola Schopenhauera, na pozór ogołocona bezwzględnie z wszelkiego ludzkiego czy boskiego rozumu, przenika świat zapładniającem tchnieniem. Jej natura — to ciągle ziszczanie się. Jest ona głuchem, niemrawem, „i niepowstrzymanem parciem, tak jak ją widzimy w przyrodzie nieorganicznej i roślinnej, oraz w jej prawach, i jak się nam ukazuje w roślinnej części naszego własnego życia“ („Bejahung und Verneinung des Willens“). Jako wola urzeczywistniania się i żądza postaci i kształtu wyobraźnianego jest ona przez to samo na wyższych szczeblach istnienia wolą życia. Lecz zarazem to parcie ku życiu jest tak dalece najistotniejszą jej cechą, że staje się poprostu pleonazmem, gdy zamiast „Wola“, mówimy „wola życia“ (Ibidem).

Rzucony tedy pod panowanie fatalności istnienia i mnożenia istnień, a jednocześnie poddany zupełnej ślepcie i bezidei tej woli — świat jest teatrem bezbrzeżnym cierpienia i nieszczęścia. Posłuszna swym bezświadomym instyktom, Wola realizuje je bezustannie na podłożu śmierci i bólu. Ciągle stwarzanie odbywa się na terenie ciągłego umierania. Nie przyświeca życiu żaden cel, żaden hamulec nie powściąga wiekuiętego rozplenięcia życia i śmierci.

Zbyt powszechnie jest znaną ta konsekwencja idei woli, ażebyśmy ją bliżej tutaj uprzytamniać mieli. Dla nas jest ważniejszem, że przenika ona Schopenhauera z mocą ustawicznego przypływu, że ją wyznaje wszystką zaciekłością swej duszy i wszystką treścią swej wiedzy. Wyssał on ją nietylko z wewnętrznych pochopów, z trzeźwej, uderzająco niesentymentalnej oceny bytu, z tradycji filozofii greckiej, z ducha chrystyanizmu i więcej jeszcze z ducha mądrości buddyjskiej, a nawet chińskiej (Wille in der Natur. Sinologie p. 340—341). Jego „zła Wola“ zjawia się nam, jako wiązanie, dźwignięte na monumentalnym i starożytnym, odwiecznym piedestale, tak pozbawione wszelkich cech goryczy i skargi, tak wolne od chęci żałobnego biadania, i takie sumienne w ciągłym sprawdzaniu swej wartości, że stwarza dokoła siebie nimb niezwykłej powagi i odpowiedzialności, a w nas budzi uczucia wysokiej czci i podziwu.

Nie mniej szacowne są drogi wyzwolenia, które Schopenhauer zaleca i których się dopatrywał.

Na szczycie swej obiektywacyi, w intelekcie ludzkim, Wola widzi siebie samą i rozumiewa swą wyroczość. Umysł ludzki — to lampa, którą ona zapala i w której świetle ogląda własne swoje mroki. Wtedy

rozpoczyna się dążność, całkiem przeciwna dążeniu do samozniszczenia się. Afirmacja siebie przechodzi w negację siebie. Jak gwałtowne i rozkazodawcze są sposoby mnożenia życia, tak potężnymi stają się zabiegi około obezwładnienia Woli. W ten sposób Wola sama orężem umysłu zaczyna walczyć z sobą i wyrывa sobie żądło.

Od najdawniejszych czasów, umysły wyższe, świadome faktu, że ziemia jest padołem płaczu, przemagały w sobie wolę życia, stępiały ostrza namiętności i oddawały się czystej, bezządnej kontemplacji wielkich spraw ducha. Mistycy i święci, stanowiący chlubę wszystkich wielkich narodów i cywilizacji, są właśnie objawami zaprzeczenia woli życia. Przenikają oni, że Wola stając się światem postrzegalnym, rozpryskuje się na wielość, czyli pojedyncze istnienia, że więc są pod oburchem zasady indywidualizacji (principium individuationis), i każdy jest jej ofiarą. Budzi się w nich żądza przełamania tych odosobnień, wybucha na zewnątrz, jako miłosierdzie, litość, dobroć, miłość, ukochanie ludzi. Wszystkie te uczucia płyną z przejrzenia identyczności naszych jestestw, tożsamości Woli w różnych zjawiskach, uznania się bratem niedoli wszystkim ludziom. Ażeby tę niedolę zmniejszyć i nie pozwalać jej rozszerzać się na nowe stworzenia — tłumią oni w sobie potężny instynkt rodny i wiodą życie ascetyczne.

Duszac w sobie namiętności ziemskie, egoizm, a przede wszystkim popęd miłosny, ten najniebezpieczniejszy i najmocniejszy podstęp Woli, i karmiąc umysł wielkimi jeno myślami, mądrością, poezją lub sztuką, wyzwala ją z sidła cierpienia i oszczędzają innym jarzma Woli.

Schopenhauer ma cześć dla owych duchów mężnych i jasnowidzących, wypowiadających walkę żywiołowym, niewolącym i bolesnym nakazom Woli. Wśród nich napotyka on niezliczone ilustracje i potwierdzenia swej nauki; oni, pokonawcy siebie, imponują mu więcej, niż pokonawcy i zdobywcy świata. Chociaż piszą nieraz źle swe świątobliwe księgi, i z mądrością mieszają przesady i zabobony, — woli on ich i nowoczesnych ich braci, św. Franciszka z Assyżu, Böhme'go, Anioła Ślązaka, Mistra Eckarda, niż dziejopisów gwałtu nad ludźmi, Liviusza i Plutarcha.

„Zwóćmy na nich swe spojrzenia, a wówczas zamiast niezmordowanego parcia i pędu, zamiast ciągłych przeskoków od pragnienia do strachu i od rozkoszy do cierpienia, zamiast niezaspokojonej nigdy, nigdy nie zamierającej nadziei, z których składa się życiowy sen chcącego człowieka — ukaże się nam ów ukój, co to wyższy jest nad wszelkie rozumy, owa zupełna cisza morska uczuć, owa głęboka spokojność, niezachwiana ufność i radość, których sam już odblask

w obliczu, tak jak je malował Rafael lub Coreggio, jest całą i pewną ewangelią: tylko poznanie zostało, wola zniknęła”.

Jest to samozagłada Woli i wyzwolenie z cierpień.

Lecz samozagłada nie dzieje się przez samobójstwo. Do wyzwolenia z jarzma Woli i cierpień nie prowadzi bynajmniej droga śmierci. Nie osiąga zamierzonego celu desperat, godzący na swe życie.

W tem niezmiernie ważnem twierdzeniu któż nie dojrzy drugiego potężnego rysu filozofii Schopenhauera — życiowości?

Przemierzywszy olbrzymie pole jego spostrzeżeń o niedoli powszechnej, ująwszy choćby tylko cząstkę tego przepięknego materiału zeznań i świadczeń, wziętego z literatury i sztuki wszechdziejów, z tej najwierniejszej spowiedzi człowieka, jest się przygotowanym na to, że u kresu wielkiej, zohydzającej świat wędrówki, będzie wezwanie do śmierci.

Okazuje się jednak, że nie. Nie odruch w stronę nicestwa wyzwala, lecz przeciwnie, bogate i treścią myślową i moralną wypełnione życie. Samounicestwienie zostaje wprost i z całą stanowczością odrzucone. Samobójca bowiem, to nie ten, co zmusił w sobie do milczenia wolę życia, lecz wprost przeciwnie, to osobnik, co nurtowany jest przez szczególnie wielką żądzę życia, i tylko zadość jej uczynić nie może. Przecinając więc czynem gwałtownym swoje istnienie, usuwa jeno z widowni świata jedno zjawisko, siebie, jedno z bezmiaru ułud Maji ogniwo, grunt zaś istnienia, Wola, przyczyna złęgo, została nietknięta.

Samobójstwo nie zmieni również i nie naruszy w niczem rzeczy samej w sobie i przeto jest czynem niedorzecznym i nadaremny. „Nie przestanie istnieć tęcza, choćby nie wiem jak szybko zmieniały się krople, które ją w każdej chwili na sobie noszą”.

Dla przezwyciężenia cierpień należy postępować wprost odwrotnie, pozwolić umysłowi poznać cały ogrom niedoli, a wtedy zrodzi się sztuka tłumienia w sobie woli życia. „Potrzeba, żeby Wola poznała siebie samą. Natura prowadzi ją ku światłu, bo tylko przy świetle znaleźć ona zdoła wyzwolenie. Dla tego cele natury, skoro tylko wola życia, tworząca jej istotę, wypowiedziała się, należy na wszelki sposób wspierać”.

Wszelkie schodzenie z drogi cierpień jest dla Schopenhauera nonsensem i bezcelem, a więc i znieczulanie się na ból po przez bezwład stoicki. Wstrętną mu jest etyka stoików z jej ataraksją. Ich cnota, będąca nie celem samym w sobie, lecz środkiem do celu, do wyrobienia w sobie bezzyciowego spokoju umysłu, do szczęśliwości, wy-

nika z trzeźwej suchej praktyczności. Stoicyzm to rzeczywisty rozum praktyczny. Przykrywa się cnotą, a właściwie ma na myśli jakiś błogostan. Często bywali stoicy „bohaterami szerokiej gęby (Maulhelden) i tak się mieli do cyników, jak dobrze utuczeni Benedyktyni i Augustyni do Franciszkanów i Kapucynów“. („O praktycznym użyciu rozumu i o stoicyzmie“).

„Dla tego ideał tej szkoły, mędrzec stoicki w jej własnym przedstawieniu nigdy zyskać nie mógł życia, ani wewnętrznej prawdy poetyckiej, lecz jest jak był drewnianym, sztywnym manekinem, z którym nie wiadomo, co począć, który sam nie wie, co czynić z swą mądrością, albowiem jego zupełny spokój, zadowolenie, szczęśliwość, wprost przeczą istocie ludzkiej“. („Świat jako przedstawienie“).

Życie i prawda wewnętrzna oto znamiona rzetelnej mądrości. O ile one są, stają się dla Schopenhauera arką przymierza między wszelką religią a światopoglądem całkiem niezawistym. Nad stoików woli on dobrowolnych pokutników i wzgardzicieli świata, których nam przekazuje filozofia indusów. I dla tego też korzy się przed doskonałą postacią Chrystusa; on bowiem ma w sobie to „głębokie życie i największą prawdę poetycką, choć z nią łączył taką skończoną cnotę, świętość, wzniosłość i najwyższe cierpienie“.

Nie trudno w tej chwalbie życia widzieć zadanie kłamu tym, dla których Schopenhauer jest życia przeczywielem. Jest on tylko przeczywielem i szydercą optymizmu, lecz tak głęboko, tak do dna duszy przeniknionym prawdą o niezniszczalności Woli, o jej metafizycznym wiecznotrwanym, że zamiast wątplych i słabowitych na nią zamachów chwilowej rozpazy, woli pełną życiowych wirów i nurtów rezygnację. Nie zaleca biernego poddania się, lecz każe korzenie Woli prowadzić do zaniku, przez samo niweczenie w nas ziemskiej gleby, w której one tkwią.

W takich pouczeniach nie trudno o niezgodę z sobą. I przy całej swej nadludzkiej wprost bacności i czujności rozumowania, Schopenhauer nie ustrzegł się pewnych niekonsekwencji. W tym obrazie świętości i ascetyzmu, który przed nami roztacza, znajdzie się dużo linii, całkiem prawie jednakich z wizerunkiem ideału stoickiego, tak przezeń zlekceważonego. Ale takie wątpliwości najlepiej rozstrzyga sama osobowość myśliciela i sposób, w jaki w nim samym wyraz swój znalazła jego mądrość. Otóż treść duchowa, która wypełnia Schopenhauera, jest najprzedniejszej mocy i żywotności, materiał jego systemu drga cały i pulsuje inicjatywą, czynną, niezmordowaną pracą, i ściele się przed nami, jak kolosalny obóz, każdej chwili gotowy do

wyruszenia na bój, i w którym szyki sprawić będzie potężny, wszechobecny i wszechprzemyślny wódz. Nie elegijny kwietyzm, albo spokojne, zrównoważone nizanie argumentów cechuje jego dzieła, lecz jakiś nacisk i napór ruchomego lasu, jedyny w swoim rodzaju.

Nie tylko wtedy, gdy życie jako konieczność świadomie i teoretycznie potwierdza, jest Schopenhauer biegunem przeciwległym martwoty i melancholii, lecz i świadomie lub ponad świadomie w dziele jego tryska życie świata. Jak niespokojne, splątane kłębowisko, roją się w nim wszystkie formy życia w przyrodzie i pojawiają się nowe arterye i kanały życiorodnej Woli. System to, cały poprzeryzany drogami przekazywania się i przelewania mocy żywotnej. Każda stacya wywodów nadarza sposobność do rozwinięcia pulsujących perspektyw. Kiedy śledzi sposoby stwierdzania się Woli w świecie organicznym za pomocą energii rozrodczej albo wybiegów samozachowawczych, stawia tezę dosadną i bezwzględna, że „narządy płciowe są właściwym punktem ogniskowym Woli“. Jako zasada naczelną, pierwotną, zapewniającą życie nieskończone, były one czczone u greków jako Phallus, u indusów jako Lingam.

Ludy starożytne i oświecone tak dokładnie pojmowały nieodbitą moc popędu miłosnego, a więc życiowego, jego panowanie nad śmiercią, — że na sarkofagach, na symbolach mogiłnych umieszczały symbole szaleńczego, radości, bachanalie i hulaszce orgie i nawet jurnych satyrów w związku z kozami. Świadomość powszechna tak czuje wyższość pierwiastku życiowego, że właśnie najchętniej dla jego chwały bagatelizuje śmierć. Wie ona, że zgon i narodziny to przemijające drgnienie w wezbranym potoku życia, który pieni się wiecznie.

Nieporównanej mocy i obrazowości są wszystkie dowody tego życiowego poczucia, nagromadzone przez Schopenhauera ze skarbnie mądrości ludów i ze świata przyrody i duszy. Po przez nie wyziera sama jego indywidualność, jako właśnie potężny i przebijający odblask Woli, ze zmysłem szczególnie wyostrzonym na pełną i przytłaczającą przewagę życia.

CEZARY JELLENTA.

PRZEGLĄD.

TEATR. „DEMOSTENES“.

Temat jest niedramatyczny. Koniecznością tragedyi demostenesowej jest fatalny nacisk stosunków polityko-socjalnych z doby przekwitania Aten; bohater przeciwstawia mu się s ł o w e m, jest mowcą. Poeta, obejmując znaczną część toku jego dziejów (346—322), wydobyl dwa ledwo czyny: u wstępu protest założony w „zgniłym pokoju“ Filokratesa, u końca samobójstwo; udziału w bitwie chereńskiej nie pokazał. Elementem dramatu jest działanie; gdzie go braknie, nie pomoże patetyczna dola bohatera; nie-szczęście samo przez się nie jest tragicznem, jest tylko opisem koniecznego. Tragedya rozpoczyna się tam, gdzie się budzi wymiana wolności i konieczności, w momencie walki. Kto chce los ujarzmić słowem, jest twórcą lub tworzywem liryki; ta złączona z opisem dać może bogaty materiał powieści poetycznej: wszak najpoetyczniejszą mowę mamy u Ujejskiego w „Maratonie“.

Instynktem trafnym wiedziony omijał dramat dzieje Demostenesa. Zrozumieć łatwo, że Mickiewicz spalił swoje oratorskie epejzody o twórcy Filippik w chwili, kiedy patrzył już w żywą twarz bohatera, który umiał na lat dziesiątki zamilknąć, aby raz podzielać, w Konrada Wallenroda. Ale że łakomi poławiacze tematów klasycznych, a przytem rasowi oratorzy sceniczni, francuscy tragiccy pokroju niby-klasycznego nie poszli na lep tematycznych wdzięków ateńskiej tragedyi narodowej, jest to już wskaźnik wyraźny: hipertrofia walki mówionej odstraszyła nawet retorów urodzonych. Konczyński, któremu nie są obce sprawy teoretyczne i historyczne dramatu, ostrzeżeń tych się nie uląkł. Podjąwszy raz zagadnienie, stanął na rozdrożu metody dramatu historycznego, wobec trylemmatu: pamiętnikarsko-językowa (pseudo-uczona) stylizacya, bezstylowy schemat konfliktu czy mitologiczno-ideowa perspektywa? Naiwniutkie zresztą i tymczasowe to rozróżnienie konstruuje się jedynie do użytku powyższego utworu. Twórca prawdziwy nie zna podobnych sądów rozjemczych, ogarnia jednym gestem twórczym w dziele jednym wszystkie jego możliwości; w stylizacyi archeologicznej uratuje wyraźne i głośne zderzenie motywów kolizyi i otworzy w głębi dalekonośną perspektywę idei. Konczyński chwieje się między tymi czynnikami w sposób mechaniczny i eklektyczny.

Barokowe tło przekwitającej kultury greckiej, czasy Dyogenesa i Fryny, pół-orientalny koloryt dworu macedońskiego nęciły pokusą szerokiego podmalowania środowiska; bogaty materiał literacki pozwalał nagromadzić moc osobliwości kulturalnych, a sukces stylizacyi Nowaczyńskiego przekonywał, że zwrótem curiosów językowo-anegdotycznych można problem dramatyczny zasypać tak skutecznie, że przekupiony posmakiem skandalu historyzoficznego sympatyczny uczestnik współczesnych agonów dyonizyjskich ani się spodziewa, że zamiast w tragicznym lęku i współczuciu przeżywać arystotelesową katharsis swojej duszyczki, powtórzył sobie co ważniejsze wypadki z dziejów kraju rodzinnego, ciekawsze okazy języka staropolskiego, słowem,

brnął godzin kilkoro przez monograficzno-pamiętnikarskie odmęty sowizdrzalskiej uczoności autora, który przeczytał siedm książek o Dymitrze, a dużo więcej o Fryderyku Wielkim. Konczyński chciał wzgardzić drogą pewną, u końca której świta zachwyty dyrektora i recenzenta teatralnego. Uczynił to niepotrzebnie w scenie na dworze Filipa, która bez sztafażu została bezbarwnem powiadomieniem o rezultatach poselstwa; później, kiedy dla podtrzymania akcji nie obeszło się bez osób i zdarzeń luźnie ze sprawą związanych, momenty te brzmiały niekonsekwentnie i bezcelowo. Łatwo zrozumieć, że wyminawszy erudycyjną Scyllę, wpaść można w puszcze Charybdy, skąd zioną metrowe dyalogi Szujskiego i Bełcikowskiego, najedzone słodkimi daktylami i anapestami, wyróżzowane sentencyjami zgoła ogólnymi, skandowane westchnieniami nad zmiennością doli ludzkiej i przemądrze drogami Opatrzności. Z dwojga złego: kolekcji archaizującej czy frazesującego prostactwa kaznodziejskiego cokolwiekbaż uznamy za gorsze, to pewna, że równie niedobrym jest obojnaczy twór, jaki stworzył Konczyński, kiedy pamiętając mniejwięcej o metodach wskrós najnowszych, równocześnie w chlubnej tęsknocie za dobrymi wzorami przeszłości oparł się aż o „Mnicha” Korzeniowskiego, „przyjawszy na się półposagową postać Eurypidesa tragedyi”. Nie dość tego. Konczyński w dramacie prozaicznym marzy o zwycięskiej syntezie techniki Scribe’go z psychologią Przybyszewskiego, w wierszu żeni solidną bezbarwność Al. Felińskiego z historyzofią Wyspiańskiego. W gąszczu alexandrynow czy trymetrów jambicznych, zionących nieprawdopodobną masą spirochetów znudzenia, przechadzają się osobistości, nazwane przez autora lekkomyślnie Aressem i Ateną, które bez żenady wyznają swoją kazirodczą genezę z muzy „Nocy listopadowej” (szal krwiozerczy — bój rozumny), nadto bitwa pod Cheroneją jawi się wizyjnie we śnie zakochanej Arety, wreszcie nad trupem każdej co dostojniejszej osoby pojękuje chór nieopogrzebanych wojowników, wykładający krótko rzecz o roli Ananke w dramacie klasycznym. Elementa te, wobec postawy całości wyraźnie heteronomiczne, są wtrętem, który zdradza rękę nie twórczą, lecz literacką. W prozie Konczyńskiego jest podobnych interpolacji nieorganicznych, bo przejętych, niemało; są nią n. p. w „Stracencach” z manieri tak niedwuznacznie literackiej czerpiące swą moc neodpartą oczy p. Otawskiego.

Chybione są obie mowy o wieńcu. Podjęcie tej sceny w perspektywę sceniczną jest aktem dziwnej nieopatrności estetycznej. Jest to chwila w dziejach Grecyi niezapomniana. Próba schwywania jej w kształt sceniczny skończyć się musi przy zbożnym choćby pietyzmie efektem blasfemicznym, podobnym temu, z jakim brzmiałoby w świetle kinkietów ósme kazanie sejmowe Skargi. Ktesifon wystąpił z wnioskiem, aby uwieńczyć w teatrze w uroczystości dyonizyjskie wobec przedstawicieli sprzymierzeńców Demostenesa, który po Cheronei nie spoczął, ale wygłosiwszy mowę nad poległymi, przeprowadził wniosek o naprawę murów, wszedł sam w komisję i wsparł jej pracę osobistą ofiarnością. Wieńczenie to miało być demonstracją partyotycznej partyi przeciw-makedońskiej. Makedono-fili nie zostali dłużni: Aischines wniósł grafe paranomon, oskarżając Ktesifonta o wniosek prawu przeciwny. Pozorem był Ktesifon, który wbrew prawu wnosił uwieńczenie w teatrze przed złożeniem przez Demostenesa rachunków; skarga trafiła jednak celnie w samego wielkiego mowcę, jego politykę i charakter osobisty.

Obie mowy, oskarżyciela i obrońcy, były głośnem zmierzeniem się dwu idei, mocowaniem losowładczem dwu dusz wyborowych. W dramacie i teatrze patos tej chwili ulotnił się bez echa. Nic dziwnego: próbowano ją odtworzyć realistycznie w skrócie schematycznym, podczas kiedy jedynie symbol, rysujący plany pierwsze, sprostać mógł zadaniu. Dysponując treściowo mową Demostenesa, autor zaniechał mimo to skonstruować ją wyraźnie w sposób, któryby pozwolił wejrzeć w psychologię mowcy, niezawsze w modle rozpaczliwie prostolinijnej monotennie niepokalaną, i w technikę, która u artysty, świadomego swych środków twórczych, nie cofała się niejednokrotnie w układzie i pomysłach przed argumentami, którymi i jego własny osąd etyczny mógł pogardzać. Są w mowie Peri stefanu trzy części dość wyraźne, w których mówca, broniąc niby Ktesifonta, kreśli wprzód panegiryczny obraz swej polityki i patriotyzmu, w środek ukrywa dyskretnie najślabszy punkt sprawy, merytoryczno-prawną stronę zarzutów i repliki, a przechodząc szybko w część ostatnią, kończy patetycznym apelem do przeszłości i przyszłości narodu, odzyskując nim tych z pośród słuchaczy, których pałubiczny punkt środkowy zachwiał w ocenie tej niepowtórzonej w dziejach rozprawy sądowej. Nie dość instruktywne i wyraźne wyzyskanie tych czynników zadziwia u Konczyńskiego tem bardziej, że zamiar jego zdaje się być raczej dydaktycznym, niż dramatycznym.

Stwierdzają to nietylko komunikaty dyrekcyi, ale i rysunek bohatera. Jego przeczysto-biała, katechumeńska szata ciała i duszy, jerebiaszowa wieczyste bolejąca maska p. Węgrzyna, piętnują go chryzmatem beznadziejnie nudnego pedanta cnoty w zrozumieniu pocziwego, koturnowego różniczkowania charakterów białych i czarnych. A przecież był to nie tylko mąż stanu i męczennik sprawy narodowej, ale też pierwszej miary artysta, to znaczy cały człowiek. Świątłocien kompozycyi odkwitnąłby arcyłudsko, gdybyśmy widzieli, jak ten artysta, któremu nie jest obcem żadne kuszenie uczucia człowieka, porzuca, krew swą najdroższą ratując przed rozlewem daremnym, tarczę pod Cheroneją, jak garnie się chętnie w przepyszny krąg uroków kształtu i myśli, jakie sieją w symposionach hetery, nieśmiertelnych towarzyszeki nieśmiertelne, jak w sprawie Harpalosa broni się bez skutku przed zarzutem przekupstwa.

Stało się podobnie z wielu figurami. Głęboka postać filozofa-psa i nędzarza Dyogenesa ze Sinope wykrzywiła się pod rylcem Konczyńskiego w karykaturę kalderonowo-szekspirowskiego wesołka.

A jednak Konczyński jest poetą. W jego prozie wśród fabuły czasem najzbyteczniejszej przewija się przecież nicią szczerokrwawą głęboko odczuty sentyment dusz, pragnących wyzwolenia. Jest to poezya o bajce, grającej na srebrnych szczytach, po którą sięgają daremnie zwycięscy i stracenci, wędrujący porówno drogami zawrotnemi, bo bajka jest niedościgła i traci się wtedy, gdy się iści. Łza ta jest bezcenna. I choć w łzawnicy, w którą lecą popioły ginącego narodu, niema dla niej miejsca, są w „Demostenesie“ chwile liryczne szczerozłote; podmywają one, niby rozczyn żący, fundamenta budowy dramatycznej, ale okupują wiele, bardzo wiele. Konczyński jest naprawdę poetą; tylko że być poetą, a być twórcą — są to rzeczy tak bez litości różne!

P. S. Odegrano dni temu kilka udratyzowaną balladę L. H. Morstina „Lilie“ z panią Siemaszkową w roli głównej. O czem w przyszłym zeszytcie.

TADEUSZ ŚWIĄTEK.

POEZJA I DOKOŁA POEZJI.

JÓZEF JEDLICZ: NIEZNANEMU BOGU. POEZYE. WARSZAWA. 1912.

Ecce poeta! Chciałbym w tej stanowczej formie wskazania rzucić jakby z reflektora błyskawicę światła na prawdziwą, wspaniałą treść nadużywanego dziś słowa, które w literaturze piłą stać się już mogło. Nie będę się kusił o definicyę poety, którego „stanowisko“ i „służbę“ określił genialnie Norwid w pierwszym z wykładów o Juliuszu Słowackim. Ten tytuł należy się Jedliczowi i „odmówić mu go właśnie nie można“, podczas gdy innych częstują nim dla braku innego właściwego określenia, w pośpiechu i szablonie terminologicznym, zatracając poczucie dostojnej jego symboliki.

Podhalaninem jest Jedlicz, z miejsca urodzenia, z krwi i z rasy psychicznej. Nie jest on jednak bynajmniej felibrem swej kolebki, to też zaliczenie go w literaturze do grupy Podhalań było li uczynieniem zadość chęci grupowania, uogólniania i schematyzowania zjawisk podług najłatwiejszej metody i skrzywdziło go. Nie wiedziano bowiem co z nim zrobić, kiedy indywidualność jego wyłamując się zaczęła z ramek przygotowanej etykiety, skrojonej zbyt doraźnie na podstawie nie decydujących jeszcze w tym zakresie faktów, i pojętej do tego zbyt dosłownie i naiwnie. To, co wyniósł Jedlicz z najbliższej swej ojczyzny, nie leży na powierzchni tematów i słów, to kryje się w fundamentach jego psychiki i w widnokręgach jego poezji. Została mu w duszy przemożna wizya gór i szczytów, rozległych perspektyw dunajskiej doliny, zostały z nim surowe, wierzące i opiekuńcze duchy ojców: nakazy krwi, ziemi i właściwości psychicznych rasy. Gdyby Jedlicz nie przeniósł do literatury żadnego motywu z życia, ani jednego wyrazu z gwary Podhala zawsze jako poeta byłby synem gór i zawsze byłby sobą.

„Nieznanemu bogu“ poświęca Jedlicz

tych marzeń swoich błędny kwiat
snów niespełnionych tęczyowy puch,
co lecą chyżo gdzieś po za świat...

— — — — —
I nie wracają nigdy już!

Widzimy jednak, że on, ten „tęskniący duch w uścisku monottonnych godzin“, to świadomy siebie „wieczny człowiek“, który mija i depce kwiaty doczesnej szczęśliwości“ na drodze do „przyszłego, świętego człowieka, który „z tryumfem porwie nić zagadek“ i „pył wieczystej nocy zedrze pełen siły“.

Temu przyszłemu człowiekowi rusałnemu, arcydziełu „z krwi, z pieśni i z łez niewolnych“ zrodzić się mającemu, poświęcone są właściwie etapy tej drogi, którą przebył ku niemu poeta — poezye jego przeżycia najgłębsze.

Jest więc Jedlicz prometeistą nie z założenia, ale z nakazu swej bohaterskiej organizacyi, która walczy i pada i dzwiga się znowu, „by spełnić przodków nadobłoczne dzieło“, dla której „ból jest gęstwina, co do światła wiedzie“. W tej szczytnej ideologii oglądam jakoby stygmat prawego synostwa ziemi rodzinnej Jedlicza.

Cierniste i smutne są drogi, któremi wędruje poeta-rycerz ideału. Poznajemy go z początku (Elegie jesienne) jakby wyłącznie pogrążonego

w kontemplacji swych zawodów, swego zwątpienia i bólu serdecznego.
Przeżył już tak wiele — wie, że

drobne, błahe zagadki dnia są nazbyt trudne,
aby myśl już ważyła się wdzierać leniwa
na piramidy pytań groźbą gwiazd ułudne

nawet drżącej nadziei szept ciepły, usilny
tyka jeno drobnostek...

i czepia się go wyrzut, czy warto się

Krwawić słabe pięście
i lotem wzwyż w niesięgłe zmierzać świty

czyż wiecznym celem człeka nie jest szczęście,

i żal mu wzgardzonego życia... i kwiatów podeptanych...

Na zwiędłej malwy
Suchym badylu
Śmierć się kołysze
I sennie nuci
Swą białą pieśń...
Nuci o złotym
Życia motylu
Co w dal odleciał
W bezkresne cisze — —

I już nie wróci...
I już nie wróci...

Cóż mu zostało?

Z hufu rycerzy ocalał jedynie
Królewicz... z bajki, kaleka — marzenie,
Co puka sennie do niebios podwoi
A drży jak cień i widoku krwi się boi.

Nie są to jednak, jak łatwo chyba poznać można, smutki — nastroje, to rany — cierpienia bohatera, który rychło odklina się słabości swojej i o prawdę swą walczyć nie przestanie. („Nie daj Wszchemocny Boże, bym ja człowiek razem z Tobą władnący na niebie, wraz cierpiący we wszystkim i twórczy wiekuiście... wpadł beznadziejnie w odmet niskiej rozpaczy“).

Pięknie i godnie zamyka tom utwór ostatni „Dzieci“, w którym wypowiada się cały poeta cierpiący i wierzący, a poetycki legat jego z ducha dzieciom tym przekazany, to jego credo ideowe.

Jeżeli z duchem mym obcować chcecie
O nie szukajcie go w cmentarnym mroku

We własnych, żywych duszach go znajdziecie!
 We własnych tęsknic zawierusze słodkiej,
 W nadludzkim pędzie ku nieskończoności,
 Nie w bezistnieniu grobów, lecz w przeszłości

Zasadniczą cechą liryki Jedlicza, to jej bezwzględnie męski charakter. Nie chcę tu zaprzeczać czaru liryce kobiecej, (niekoniecznie przez kobiety pisanej) podkreślam tylko tę jego wśród współczesnych liryków odrębność tonu. Co się tyczy strony artystycznej, zna Jedlicz dobrze wartość słowa, forma w jakiej wypowiada swe przeżycia jest u niego zawsze treści swej bezwzględnie jedynym wyrazem, pierwiastek muzyczny przewija się w jego poezjach w odczuciu szczerem a umiarowem, (w refrenowaniu bezpośredniem zwłaszcza momentów tragicznych „I już nie wróci, i już nie wróci“, oddającym jakieś melancholijne rozpamiętywanie, słyszę jakby poetyckie wypowiedzenie zakończenia któregoś z mazurków Chopina) plastykiem jest nawet bardzo śmiałym, oryginalnym i subtelnym. Poezycy Jedlicza, wydane w pięknej edycji Mortkowicza „Pod znakiem poetów“, pokochać można dla ich prawdy artystycznej.

HENRYK SALZ: MOCARZE. POEZYJE. STANISŁAWÓW 1912.

Nie ma duchowej fizygnomii H. Salz, którego „Mocarze“ są czwartą z rzędu seryą poezji. Jest w jego wierszach czasem nawet dużo poetyczności, niema zaś poezji. Z sugeruje go czasem jakiś cudzy, głębszy rytm i z obrębu wywołanych tą suggestyą skojarzeń wydobywa prawie że stopniowo coraz niklejsze i bledsze warianty. W poprzednich tomikach („Błędnymi szlaki“, „Krzyk niewolnika“, „Na drogach duszy“) zarysował się Salz jako natura bardziej refleksyjna. Obecnie do dawnych o nim sądów nic dodać nie można. Ma on, jak łatwo wywnioskować można, pewien wyrobiony smak, oparty o znaczną zapewne kulturę artystyczną — nie jest prawdziwym poetą. Z „Erotyków“ kilka jest ładnych, „List“ i „Hejnał“ są może jego najlepszymi utworami, „Mocarze“ zaś — w trzy grupy uszykowane według niełomaczącego się artystycznie pomyslenia postaci z mitologii greckiej, są niby jakąś poetycką Siegesalee berlińską. Określić Salza możnaby paradoksem: jest to utalentowany grafoman. Grafomanem jest naturalnie najlepszego gatunku, a na to, co podpada pod nazwę talentu, składają się: jego kultura artystyczna, pewien wyrobiony smak i nie całkiem jeszcze zdawkowa refleksyjność.

MARYA Z ZAPOLSKICH DYNOWSKA: LATAWIEC. KRAKÓW 1912.

Latawiec — wierszowana bajka ludowa — z ilustracjami — jest nieszkodliwy.

TADEUSZ SZANTROCH.

XVI WYSTAWA „SZTUKI“.

Zdarzyło się piszącemu te słowa, że zwiedził „Sztukę“, świeżo po przybyciu z szerszego świata. Tam w salonach wiosennych wiszą setki płócien, a składa się na nie pięć — sześć narodowości. Wybór odbywa się często na zasadzie najbutniejszej chęci zaimponowania wszystkim.

Naturalnie, piszący uczciwie musi w takich warunkach przyznać, że wydaje swój sąd w chwili nie zupełnie jasnej i czystej, kiedy porównania same się narzucają z siłą nieodpartą. Zresztą, niema się czego wstydić takich świeżych wspomnień, bo one prędzej pomagają, niż przeszkadzają, takie porównywanie raczej krystalizuje lepiej wrażenie, niż je zamąca.

„Sztuka“ nasza — taka jest impresya pierwsza — nie oszałamia bogactwem i ilością dzieł, owszem w tym względzie cechuje się wyraźnem ubóstwem i brakiem wielu części tej olbrzymiej skali tematów i motywów, na które malarstwo rzuca się dzisiaj w swej wciąż rosnącej zachłanności barwnej ekspresyi.

Ale wystawa ta pomimo to jest bogata. Jasno i zdecydowanie uderza jej ogólnie wysoki poziom. Widz szczerzy, umiejący wydobywać z samowiedzy swojej te wrażenia, których doznał najpierwej i najsilniej, musi przyznać, że wrażeniami temi są świeżość i siła, pewien energiczny, jedyny ton ogólny. Mam to głębokie przekonanie, którego nicby zachwiać nie zdołało, niczyj sceptycyzm ani ironia — że grupa ta nie straciłaby naprzykład na bezpośredniem sąsiedztwie z najmocniejszymi grupami dzisiejszych malarzów. Owszem, przewyższyłaby je czystością i poezją koloru i szczerością ujęcia. Nigdzie nie widziałem tak małego, nikłego śladu, tak prawie niedostrzegalnie drobnej ilości nieprawdy i pozy, wykręcania się efektem. „Sztuka“ tegoroczna jest poważna i uczciwa i pod względem tej powagi i uczciwości — uczciwości dzieł nie zahypnotyzowanych wielkoświatowym jarmarkiem i stołecznym snobizmem — mogłaby służyć wielu innym za wzór.

Chciałbym, ażeby wystawcy tegoroczni mieli całą pełnię tej świadomości i żadnego z słów moich nie kładli na karb pochlebności nie-malarza. Wady i niedociągnięcia widzi on jasno i wielkie ich mnóstwo nic a nic wpłynąć nie zdoła na rezultat ogólny.

Nie mógłbym np. ukrywać przed sobą, że portrety Olgi Boznańskiej zabardzo uporczywie tkwią w tem samym ciągłym sposobie traktowania. Ich zwykła siła i przewaga — odepchnięcie postaci mnóstwem powiewnych plamek i dotknięć, prawie bez pomocy rysunku, w wizyjną przestrzeń, coraz wyraźniej ujawnia, że zarówno plamy te jak i ich suma są brudne, kolorowo nieświeże i monotonne. Za wiele samej tylko głębi i surowej powagi, a za mało odnawiania się, świeżości, która w każdym obrazie tego samego artysty powinna bić jak nowa fala. W stosunkowo najbardziej dekoratywnie traktowanym portrecie pani P. pierwsza warstwa plam na twarzy jest prawie nałogowo brudna. Na cały gwałtowny przypływ energii kolorystycznej, soczystości, blasku, które stanowią rzeczywisty postęp sztuki, Boznańska zachowuje nieczułość albo też dumną obojętność.

Również jest faktem, że i p. Jarocki swoje mocne i tęgie, dosadne i energiczne typy ludowe, zbierane po pieczarach Galicyi, jak po formacyi

przedpotopowej, odtwarza nieco jednostajnie i bez tonu, z za wielkim nadmiarem techniki rysunkowej.

Niemniej taiczym nie radził, że jednemu z najpoetyczniej czujących malarzy Vlastimilowi Hofmanowi ciągle jeszcze nie dopisuje plama śmiała, pełna i szeroka. W pięknej i bez zarzutu, a z wdziękiem skomponowanej grupie purpurowa szata dzieciątka zapowiada coś, czego inne plamy nie spełniają, są one jeszcze dysonansem, nie harmonizują się, jeszcze grzeczna zaudadno w kolorach realizmu. Twarze są bez kolorystycznej ekstazy, za mocno rysowane, nie bije z nich urok barw. Rzeczyb można, że świętego rysownika i konstruktora nie wypełnił malarz, jako przedewszystkiem symfonista i szafarz bezpośredni plam. Już to samo, że wobec tej kompozycji uczuwa się potrzebę założenia jej tonami i zalania konturów zbyt dokładnych, świadczy o niedostatecznem przerobieniu się artysty w fantazyjący pędzel, którym ostatecznie powinien być. Co do Jana Chrzyciela, to byłby on w dwójnasób lepszy, gdyby w nim, a zwłaszcza w ustach jego, było o połowę mniej słodyczy.

Nie wszystko też powinno się podobać w pejzazach Mehoffera, w których stale klombom i kwiatom, traktowanym ze skupionym, finezyjnym artyzmem i odczuciem, nie odpowiadają bezbarwne i nietwórczo pojęte kolory chat i planów drugich.

Dalej idzie szereg dzieł drobniejszych, w których poza ogólną znaczną kulturą nie umiałbym wskazać jakiegoś rysu górującego i szczególnie indywidualnego. Tu należą Nowakowski, Pienkowski, Trojanowski, Czajkowski Stanisław, Bukowski. Inni dodatnio rozczarowują; możnaby się po nich spodziewać rutyny tylko lub zapędzenia się w twórczość en masse, a tymczasem dali świeżość. Aksentowicz, zawsze majster wdzięku linii kobiecych, o ile ich nie przeznacza zbyt wyraźnie dla pocztówek, oraz Neumann, nie kompromitujący się, bardzo przyjemny.

Wbija się w pamięć — wielką, rozłożystą interpretacją natury — Kamocki, w dwóch „Dniach słonecznych“, roztoczonych na lasy i pola, jak tchnienie panteizmu, a nie opartych bynajmniej na jakimś efekcie technicznym; Podgórski — spokojną, szlachetną czystością kontemplacji. Talaga — kompozycją o wielkim wdzięku, szlachetności i świeżości, czemś nowem i własnem w tonacji subtelnej, jak przelewania się światła w masie perłowej. Niesiołowskiego wolę krajobrazy niż „Śmierć“, nieco geometryczną i sztywną, choć nie byle jak rozbolałą. Ślewińskiego martwa natura jest znakomitością, jako kolor przedziwnie w swej czystości stłumiony i jako nastrój nie dający się wysłowić opuszczenia i zadumy. Rzecz to powściągliwego arystokratyzmu pełna. Nieco z takiego samego rodzaju pojęcia koloru pochodzi bardzo obmyślana, wykwintna „Naprawa sieci“ Markowicza.

U bieguna przeciwnego stoi technika Edwarda Herszteina, wogóle różna zupełnie od dystynkcyi krakowskiej, jest cierpka, brutalna, posługuje się tylko łopatką, aktu nie upiększa, tylko mu wiele światła użycza, za daleko posuwa niewykończenie kończyn. Polotne są w liniach aniołów kartony Bruzdowicza do figur dekoracyjnych dla kościoła — nieco przerysowane.

Co się zapowiada w Rerutkiewiczu, Grocie i Dunin-Borkowskim — jeszczebym nie umiał powiedzieć, w każdym razie dążenie ku prawdzie. Akwaforty Rubczaka na temata z Rouen — mocne.

Niepokojący, ale i ciekawy jest Zak Eugeniusz. Malarz wyrafinowany, ale trudno powiedzieć, gdzie i kiedy jest sobą. W „Kobiecie z dzieckiem” jest na podziw prymitywem, w „Głowie kobiety” — grekiem, w „Pastuchu” — może florentczykiem. Wolałbym, żeby był czemś jednym — ale sobą. Zak to charakterystyczny odbłask Paryża, hypnotyzującego jak prawdziwy geniusz. Ale nawet geniuszowi nie można zaprzedać własnej duszy. Zauważyć można tę raptowną i łatwą sugestję w innych też, np. w Gottliebie z poprzedniej wystawy. Biorą wielkie walory harmonii i finezyi — ani słowa, ale płacą swoją indywidualnością, to znaczy — wszystkim; nie lepszy był np. improwizator i eksperymentator klasyczny w rzeźbie, Nadelman. Szczerszy jest, bo się do naśladownictwa przyznaje Błocki w „Kokietce” i „Niby Velasquezie” — całkiem smaczny.

Najlepszym dowodem, że można słuchać inspiracji Zachodu, dorastać do pnącego się wciąż wyżej koloru i syntetyczności, a jednak zachowywać temperament własny, jest kilka dzieł zastanawiających. Rembowskiego „Rybak” pewnie z jakiejś Bretanii — wspaniały i artystyczny przez swą spólstylizację zwichrzonych włosów i fal, przez siłę oczów wilka morskiego, a przytem momentalny spokój. Gwozdecki rwie się naprzód; dotąd niepewny, powierzchowny a nieraz nawet płytki — okazuje się rasowym kolorystą, którego wazony kwiatów, obrusy barwne i sztafaje portretowe mają nadzwyczajną wprost siłę, świeżość, blask. Ale na portrecie samym zostało wiele z tej samej glazury majolikowej, stanowczo za wiele.

Do najlepszych rzeczy zaliczyłbym portrety Konrada Krzyżanowskiego, zwłaszcza damę z kotem na kanapie. Widmowo cienka, mistycznie nastrojowa, symboliczna bez blagi, pełna srebrzystych świateł, jakby wziętych z księżycy, narysowana ciekawie, w kolorycie nie mniej ciekawa, zawiera przepych elegancyi i wyrazu.

Prawdziwym tryumfatorem jest Wojciech Weiss. Mówić o nim na początku, czy na końcu, to wszystko jedno; porywa odrazu i na długo. Wraca się do niego, jak do człowieka nowego, artysty bez przeszłości — choć jest świetną — tak dalece odnowiony wystąpił. Teraz może najokazowiej promieni się w nim „majsterstwo”, w ujmującej swobodzie tematów, w pewnej domieszce tu i ówdzie jowialności („Zuzanna”), w realistycznym traktowaniu aktu („Przed lustrem”) w którym nie boi się brzydoty, bo wie, że ją pokryje siłą koloru i nieszukanym wdzięków układem. Te wszystkie kwiaty, ogrody, pracownice to właściwie znakomite improwizacje; te akwarele zdumiewające brawurą i uproszczeniem na japońskie kreski i na żartobliwy prawie chaos linii dorywczych, z którego impresjonistycznie wyłania się prawda barwnego wrażenia — to rzuty przedniej mistrzowskiej igraszki. Wśród tej kolekcji są dwa — trzy dzieła skończone; głęboki, mocny pejzaż Tatr, „Ogród” i „Siostry”. W „Siostrach” podwójnym portrecie, tęgość kolorystyczna — poetyczna i orzeźwiająca, idzie o lepsze z siłą charakterystyki i smakiem układu. Jestto wierutna symfonia świetliście niebiesko-złota. „Ogród” zaś, to ideał wyprowadzenia z czystej koncepcyi malarskiej — pomimowolnych a przecieź bogatych wartości treściowych. Nagi ogrodnik, stojący nad koszem świeżych owoców i otoczony rozległym sadem owieszonym gruszkami na wtopionych w powietrze konarach, króluje jak mocarz, sympatyczny, rajski, nad obszarem plonu, zatracony zarazem w nim. Śmiała

i krzepka linia zasadnicza tego aktu, zgarniająca osiowo w całość wszystko bujne, co go otacza, jest arcydziełem kompozycji, rzeczą skończoną, nad wyraz prostą i szczęśliwą i z uczucia szczęścia płynącą.

Jeszcze większe walory treści widzę w „Portrecie“ Jacka Malczewskiego. Nigdzie może tak, jak wobec tego dzieła, nie uczuwa się całej potwornej śmieszności tych, co w obrazach Malczewskiego chcą znaleźć — swą własną bezmyślność. Błada twarz, rozmyślnie błada tonacja całego obrazu, o największych dyskretych i finezyjach zamiaru, daleka wizya rycerza pędzącego śród rozłogów, dalekie kępy zwarte ścielących się jak gaje druidyczne na planach dalekich drzew — słowem nieskończoność, o to perspektywa duchowa i rezonans treściowy, który się wytacza z tego enigmatycznie bladego obrazu, oto dusza portretu, roztoczona na świat jako cień powłóczysty marzeń, asocjacji i wspomnień.

O rzeźbie niewiele jest do powiedzenia. Franciszka Flauma „Na skale“, walka mężczyzny z kobietą, jest dawniejszą i znaną pracą tego artysty, posiada przysmak erotyczny, który czyni ujmę niewątpliwej monumentalności grupy. Szczepkowskiego „Fragment grobowca“ jest świeży i oryginalny. Wreszcie Dunikowskiego portret Ignacego Daszyńskiego nie zawodzi oczekiwania siły, wielkiego rozmachu oraz dosadności charakterystyki. Może być, że charakterystyka byłaby jeszcze lepszą, gdyby w niej nie przeważały elementy typu fizycznego. Wielka plastyczność i rzeźbiarskość tej figury, podkreślenie ostrych linii fizycznych nie dopuściły do głosu ekspresji psychicznej.

Zdaje się, że „Sztuka“ tegoroczna jest na drodze do wznowienia najświetniejszych swoich tradycji.

CEZARY JELLENTA.

III WYSTAWA „ZWIĄZKU ARTYSTÓW POLSKICH“.

Przeważają tutaj malarze bez przeszłości albo z przeszłością bardzo jeszcze świeżą. Niejeden z nich zapisze się trwalej w sztuce polskiej, wielu umie malować nie wybitnie, ale poprawnie — zupełnych słabizn stosunkowo mało. Ułatwię sobie przegląd wyróżnieniem tych, co przede wszystkim uwagę zwracają.

Potwierdza się, że kolorystą jest zawołanym Teodor Grott i Gwozdecki. Nowym dla mnie jest i zajmującym przez szukanie silnego tonu i nowych linii w pejzażu nieba Ludwik Skowron. Zdobył szerokość rysunku i ma swój koloryt Tytus Czyżewski w kwiatach i martwej naturze. Andrzej Pronaszko w kwiatach i owocach stawia sobie czysto malarskie zadania, bierze fragmenty o silnej barwie i ostrym rysunku i dużych kształtach, zestawia byle jak, z pewnem butnem zaniedbaniem harmonii. Bardziej finezyjnie i kompozycyjnie maluje kwiaty w barwnem otoczeniu Edw. Kopciński. Za bardzo dobrą uważam „Wiosnę“ Paciorka, bogatą tematycznie i kolorystycznie, szczerą i powiewną. Dla tego samego zapamiętałem pejzaż Eug. Młodzianowskiego, i „Topniejący śnieg“ Lud. Kalicińskiego.

A oto grupa nazwisk więcej znanych. Z trzech krajobrazów Eugen. Kazimirowskiego widać, że zanadto czuje on i kocha naturę zbliżka, poufnie, żeby mu się chciało ją po malarsku transponować. Wystarcza mu,

że czuje bezpośrednio tchnienie jeziora, patrzy na powierzchnię szklistą Dniepru lub wchodzi w gąszcz leśny jak w kryjówkę, której odtworzenie nawet trochę lekceważy, jak też wogóle skali koloru nie podnosi. Marcin Samlicki napewno nie wróci do techniki przebrzmiałej, jest impresjonistą i plein-artystą, lubi i rozumie subtelności drzew i perspektyw, jest jasny i świeży, lecz jeszcze nie zdecydowany, zima jego jest z innej szkoły niż wiosna, ale obie dobre. Bardzo przypomina Samlickiego ogólną jasnością Bog. Serwin. Maki p. Krzeszowej są błęte.

Portrety i figury. — Dwa portrety kobiece Ter. Popielskiej stanowczo bystre, ciekawe i uświadomione malarsko. „Chłopiec z latawcem“ Misky'ego ma śmiałość i siłę ruchu. Jerzy Karszniewicz ma nieśmiałość i zaletę szczerości. Trzy akwaforty Wandy Komorowskiej traktowane mocno, po męsku — proszę darować tak wyrażoną pochwałę. Z dwóch węglowych rzeczy Leona Kowalskiego daleko więcej smaku ma portret p. F. Drugi jest nieco ostry i suchy. Rzegocińskiego portret dra F. tchnie skupieniem i subtelnym zamysleniem.

Jeśli wolno malarzowi malować siebie, to wolno też i literatowi widzieć siebie i o swoim portrecie mówić. Mówię więc: nie wiedziałem, że mam tak koński łeb — szczęściem, że nie gorzej — jak na obrazie Zbigniewa Pronaszki. Ale pozatem — pozwólcie, sobie powiedzieć, mistrze: w tym portrecie jest rozmach, wielki dekoracyjny zamysł, może niecałkiem wykonany, głęboka ekspresja w zestrojeniu człowieka z naturą, zarówno zestrojeniu liniowem jak i kolorystycznym. W nim zapowiada się moc i zaciętość artysty, który nieugięcie dąży do uproszczeń i dużego stylu i tak podmalowuje rzeczy główne, ażeby szczegóły jak np. oczy, same przez się z nich wpływały, nie domalowane. Wybaczam mu więc moją niesłychaną brzydotę.

Dla kontrastu wspomnę zakrzepłych w rutynie: Radziejowskiego z tryptykiem „Czarownice“, Kaspra Zelechowskiego z „Obłąkańcem“ i nawet wielkiego Kossaka Wojciecha z epizodem z roku 1831. I dostojnemu kmieciowi w życiu, a witeziowi w sztuce Włodzimierzowi Tetmajerowi nie zaprzeczę, że jego „Wesele krakowskie“ ma znacznie więcej ludzi i barw, niż życia. Wodzinowski może się nieco odświeżyć.

Tknąwszy dawnych i sławnych, wypada ich listę uzupełnić. Są akwaforty Rubczaka, jak zawsze mocne, świetne studia W. Weissa, „Wiecznie to samo“ Malczewskiego piękne ale jakoby z przebytego okresu. Procajłowicz świeży w Wiosnie, jest sztywny i geometryczny w Zimie. U Hołmana Vlastimila — duży styl i szerokie objęcie rysunkowe, ale plamy na twarzach kładzione z pamięci, wyraz słodkawy, nie dość pogłębiony, wszędzie drugie plany znakomite. Aksentowicza pastele wcale nie zużyte, jakby się obawiać należało. Kościół w Poroninie Kamockiego więcej ciekawy i rysowany niż piękny. Od aktu kobiecego Karpińskiego bije czar karnacy i zmysłów, nie muszą nas one jednak przekupywać, gdyż po za nimi działa mocno smak półtonowego kolorytu i wysoka technika.

Rzeźbę reprezentuje jedyny Mar. Sługocki. Jego plakiety w gipsie szczęśliwie zaczynają się oddalać od szablonu.

Wiem, że nie jedno pominął — wina to obrazów, nie podpisanego.

CEZARY JELLENTA.

DOŚWIADCZALNA SALA SZTUKI.

Berlin, w kwietniu.

Własnego sumienia sztuki Berlin nie posiada. Arystokratycznej duszy, któraby zakładała swój cichy a niezłomny protest przeciw zgiełkiwemu najazdowi snobów i amerykańizmu, nie odczuwa. Berlin stał się tedy w malarstwie rozsadnikiem snobizmu i plebejskiego eksperymentalizmu na cały świat.

Jest tylko jedna kultura i szkoła, przed którą zawsze się korzy, wobec której niema odwagi własnego zdania, i którą w najrozmaitszy sposób stara się podrobić — to sztuka francuska. Lecz uszlachetniającego jej wpływu nie widać. Działa ona w dwóch kierunkach: jest przedmiotem spekulacji wielkich bandytów-kunsthändlerów, którzy oparli się na niej gnębią i wyzyskują wprost zbrodniczo artystów niemieckich, depcą ich i poniewierają, a powtórę z niej biorą Niemcy zasadę czystego malarstwa, jako sztuki światła i linii. Czystość ta stała się także na swój sposób wyzyskawką i tyranem — nie dopuściła do rozwinięcia szlachetniejszej kompozycji tematycznej, nie przyczyniła się absolutnie do rozwinięcia smaku. Kiedy malarz paryżki, niezależnie od tego, czy i o ile szuka, eksperymentuje, ryzykuje, stwarza nowe problemy świetlne — jest człowiekiem smaku, nie uznającym poezji poetą natury, wydrwiwającym estetykę esteta — to malarz berliński tylko szuka i eksperymentuje. Zdobył szerokość i energię w technice, ale nie przestał być surowym realistą: obchodzi naturę ze wszystkich stron, ale nie wie jaki jej epizod chwycić, jak stworzyć skończoną i konieczną syntetyczną całość.

Chłuba dzisiejszej secesyi berlińskiej Max Liebermann, Louis Corinth, Slevogt, Brockhusen, Rösler, Baluszek i inni, nie stworzą rzeczy słabej, dyletanckiej, ale nie stworzą też szlachetniejszego dzieła sztuki. Zdobyli brawurę i rozmach, bardzo spokrewnione z rozpędem amerykańskim samego Berlina. I może w tem jedynie tkwi zarodek narodowej, własnej szkoły. Z Paryżem nie ma ona nic wspólnego. Gdy patrzę na kilku, którzy nad Sekwaną wpatrywali się naprawdę w impresjonistów i pointillistów i ich metodę zastosowali do motywów berlińskich, to podziwiam ich wdzięk i lekkość, świeżość i wibracyjność pejzażów; — gdy zaś przyglądam się ulubieńcom society berlińskiej, mam jedynie wielki respekt dla olbrzymiej masy farby, przez nich użytej, dla organicznej wady bezkolorowości i ciężkości. Prawda nieba i ziemi, którą oni bezwątpienia osiągnęli, jest nie tchnioną, lecz wygwałconą i przeforsowaną. Ich uproszczenia konturowe jak np. Pechsteina, Beckmana, i uogólnienia okupione są utratą wdzięku i prostoty. Nonszalancya kolorowa prostą drogą dochodzi do brzydoty, jak np. w założeniu całego aktu kobiecego kolorem szafranowym.

Brak stępałego, nagromadzonego przez wieki gustu, stał się nadmierną tolerancyą dla nowinek. Wszystko jest dobre, co jest niezrozumiałe i może zawiera w sobie intencję szukania nowych dróg. Tegoroczna secesya jest chwalebnie-rozpaczliwym wyrazem takiej wyrozumiałości. Pozwoliła ona, żeby jej zaimponowali poławiacze niesmacznych prób. Z pietyzmem, czy też tylko z rezerwą przesadną, patrzy ona na wszystkie odchylenia od szablonu, choćby to były odstępstwa zwyczajnego kłamstwa. Wobec mnóstwa takich kłamiących wyścigowców, *parforce* sami członkowie zarządu

„Secesyi“ wydają się kapłanami prawdy i uczciwości artystycznej. W tym chaosie wtórnych oddźwięków ich można tu i ówdzie domysleć się wpływów Cezanne'a, Gauguina, Hodlera, von Marée, ale tak wykreconych i zbrutalizowanych po niemiecku, że nie zostało ani śladu ich monumentalności i skromności.

Oczywiście widok tych wszystkich macań i usiłowań daje wrażenie ogromnego życia. Istotnie „Secesya“ przychwyciła malarstwo w pierwszej gorącej chwili — ale chwili bezładnej, nieszlachetnej, kiedy malarze rozpychają się łokciami. Trafnie ktoś nazwał te dziewięć sal — zakładem doświadczalnym. Ale wielcy impresyoniści lub realiści nie doświadczali — lecz rozwiązywali gotowy w nich i całkiem dojrzały problem. Choć są oni tylko pewnym okresem przejściowym, ale w sobie zakończonym i noszącym tę dumną pieczęć odkrywców i wynalazców, objawiających dla przyszłości nowe pola światła i nowe tajemnice symfoniki i orkiestracy barw.

W ogólności uderza zupełny brak orientacji. Gdyby secesyoniści berlińscy dali jedną zwartą galerię tych, co zostali przyjęci przez tolerancję lub ciekawość — mielibyśmy widok wprost żaloszny i pstry. Na szczęście ubezpieczają się oni przez zapraszanie majstrów gotowych, nie kroczących po granicy humbugu. Ci dają wytchnienie i naukę. Szczera i rzeczywista naiwność Rousseau'a, szlachetna w tonie i tak niewinna, jakby natchnione dziecko malowało dzieci albo las pierwotny z baśni, zgrzytliwe ale mocne kontury Pascina, świetnie zawisłe od krzywości nierządu lub niedoli jego figur, pyszne tonacje, np. jegomością w futrze z kołnierzem i rękawami z lisów, duńczyka Griesinga, zawsze szczerą i oryginalną w ujęciu pomysłą Tooropa. A już rozkoszą zupełną są cztery van Goghi, spokojne i skromne, szlachetne w tym nienarzucającym się kolorycie, co to jest jakby za obrazem, dyszące jakąś cichą wiekuistością. Taki np. zachód słońca czerwono-złotego nad czarnymi sylwetami przystani zupełnie posiada tę samą zadumę i wyczekującą głębinę dali, którą ma prawdziwe niebo, układające się do wieczoru. Portret „Arlezyanki“ musi wszystkich rozmachanych i rozkrzyczanych obłudą naiwności i prostoty rozczarowywać swym absolutnym brakiem wirtuozostwa i przymusu, swemi płatami obok siebie kładzionemi farby bez pomocy laseczek, kostek, punktów i t. p. a tak szlachetnemi jak starożytna emalia na starem złocie.

Co mam powiedzieć o „Kubistach“? Ledwo przybyli i ledwo sami się narodzili, już zdążyli spłodzić naśladowców niemieckich. Jest kilkanaście obrazów tego gatunku, w tej liczbie aż pięć arcy-kubisty i twórcy „kierunku“ — Pabla Picasso. Jak każdy koncept, polegający na podkreślaniu pewnej linii, albo na suggestyjonowaniu nam wrzekomej przewagi pewnej linii — jest i ten czasami trafny, najczęściej zaś tajemniczą odpowiedzią egzotyczną na polskie pytanie: „czy pan kpisz czy o drogę pytasz?“ Gdy pejzaż składa się głównie z ostrych skał łupkowych, oczywiście kuby doskonale mu robią. Gdy malarz maluje Anticoli, jako stertę domostw, czyli sześcianów, kuby mu nic nie szkodzą; gdy odzwierca skłon wzgórza, pokrajanego na widoczne warstwy — kub ma niezłe zastosowanie. Ale gdy w żywej naturze z zamiłowaniem wypieszcza gruszki-bery, to ślad kubizmu został w wazie, a w owocach najprzeczystsze okrągłe bryłowości, któremi zresztą artysta znacznie lepiej i wogóle doskonale operuje. A już gdy się maluje Pont

Neuf w postaci białej zagadki, to pomimo pięciokrotnej próby jej rozwiązania w pięć naradzających się głów — niepodobna orzec, czy to powietrze, czy woda, czy aeroplan, czy dym z papierosa, czy mróz na szybie, czy świeżo zmaglowane prześcieradło.

Każdy z oglądających, nauczony i wychowany tem wielkiem otoczeniem tolerancyi i pobłażliwości dla nowych eksperymentów, zadawała się tylko dyskretnym uśmiechem wobec Pont Neuf i Krajobrazu hiszpańskiego. Ale, Boże mój, ile uczuć i myśli mniej dobrze wychowanych spycha się na dno duszy, zataja się, ażeby dopiero w domu zamieniły się w niesmak, a może nawet w nieprzyzwoite zakłęcia!...

Przypomina się np. Ogród szpitalny Gauguina: krzewy południowe w donicach są stożkowe, wykroje czoł rekonwalescentek pod czepcami trójkątne — i kilka innych jeszcze jest stożków i trójkątów — ale jakie to wszystko nieszukane, nieumyślne, jak jest tylko przypadkową dominantą wśród wielu dostrzeżonych linii!

Jak dotąd więc Kubiści żadnego nowego wrażenia nie przynieśli, w żadnym sensie nie widać spotęgowania prawdy, jako, dajmy na to, masywności lub odwrotnie, eteryczności, lub wreszcie czegoś podobnego.

Na zakończenie słówko o dziełach wystawców, którzy mogą nas interesować nieco bliżej.

Zaka pejzaż arkadyjski z boginią pasterką, z owieczkami, podobnemi do obłoczków i obłokami podobnemi do owieczek, posiada niezwykłą miękkość tonu i linii i wielką poezję stylizacyjną. Romana Kramsztyka dwa portrety mężkie — wydatną syntetyczność i zdecydowanie w ujęciu całości, ale sam artysta mimo to jest jeszcze kłiszą, odbijającą różne wpływy, w tym wypadku paryzkie. Emil Pottner, cudny malarz i hodowca ptaków, i najosobliwszy dziś ceramista-impresyonista (rodem ze... Stanisławowa) wystawił między innemi sroki na gałęzi i kaczki na wodzie, pełne finezyi japońskiej niemal i łagodnej, wytwornej i wytrawnej harmonii tonu.

Wreszcie warszawianin Edward Hersztein. To co widzimy na tegorocznej wystawie „Sztuki“ krakowskiej, zgoła nie daje pojęcia o dwu szeroko poczętych jego obrazach w „Secesy“ berlińskiej. „Porywanie“ lub „Uwodzenie“, nagi mężczyzna usiłujący powstrzymać nagą kobietę, podczas gdy inna leży na ziemi — nie jest jeszcze kompozycją — ale potężną konstrukcją aktów, o niebywalej sile ruchu, rysunku i światła cielesnego. Wielka jasność i gruntowna promienistość tej grupy działa wprost orzeźwiająco po dusznych, stłoczonych kombinacjach niemców. Mnóstwo płócien w świetle tej rzeczy ujawnia swą kłamiwość, robotę niedouczoną, pamięciową, improwizowaną. Potrzeba tylko, ażeby Hersztein z konstrukcyi swych majstersko wystudyowanych ciał ludzkich przeszedł do kompozycyi. Inaczej grozi mu monotonia i zaplątanie się. Natomiast uczynił szeroki gest odważnego powrotu do zwyczajnego ludzkiego upojenia w krajobrazie z gór Turynii, gdzie symbolem kontemplacyi i ogarniania dalekich pasm zieleni i wzgórz jest naiwnie i bezpretensjonalnie usadowiona na pierwszym wzniesionym planie figura kobieca. W obrazie tym jest szlachetnie pojęty „chleb powszedni“ spokoju w obliczu przyrody.

JAN ZARYCZ.

SYGNAŁY.

LITERATURA A ŻYCIE.

W ostatnich czasach dużo się u nas gada o stosunku literatury do życia. Jest to bardzo ważny dowód na to, że tracimy świadomość-ideę życia.

Kto naprawdę żyje (to znaczy tworzy życie, promieniuje świadomością życia), ten nie ma potrzeby debatować o życiu. Dysputę o życiu „realnym” i „nierealnym” wszczynają zazwyczaj jednostki, których świadomość jest jeszcze w stanie chaosu, t. j. barbarzyństwa. Tego rodzaju ludzi nie podobna przekonać jasnym argumentem, że przecież wszelkie przejawy życia (w najgłębszym sensie) są realne (siłą samego faktu, że są przejawami życia), że dopiero idea moralna (wszystkie religie świata) klasyfikuje objawy życia na dobre (t. j. twórcze) i złe (t. j. niszczycielskie). Życie trzeba pokonać, zwyciężyć, aby je mieć: oto jedyny racjonalny (mojem zdaniem) pogląd na życie. W stosunku do życia trzeba być twórcą. Pojęcie zaś twórczości spowinowacone jest z Literaturą (t. j. tworzeniem form życia)...

Życie istnieje *in potentia* (św. Augustyn). W świadomości Boga jest absolutnie skończone, w świadomości człowieka nieskończonością jest w nieskończoności przejawów. Historyczna świadomość nadaje życiu co raz doskonalszą formę. W rozwoju ciągłej świadomości człowieka doskonałą się formy życia. Życie jest takim, jakim je człowiek *ex potentia sua* stworzy. Poczyna sprzeczność form życia jest postrachem tylko dla głupców. Życie kocha każdego twórcę bez względu na to, czy jest mistykiem, czy racjonalistą. Życie niemiłosiernie tępi tylko wroga w swoich. Życie pragnie dojść do świadomości bohaterstwa (Schopenhauer), a zwłaszcza swej potęgi moralno-twórczej; szalenie kocha tych, którzy mają potężne chcenie, t. j. wolę!..

Wartość życia odmierza się wartością pracy twórczej. Każdy człowiek jest twórcą własnego życia bez względu na powołanie swoje. Geniusz tworzy życie genialne, matolek — życie idiotyczne. O tem trzeba pamiętać. Z punktu widzenia twórczości życiem jest wszystko, co człowiek stworzy na chwałę życia!

Tragikomicznie brzmią demagogiczne dysputy o życiu. Mówić o życiu — jako o rzeczy jasnej, określonej namacalnej! *Curiosum* — nie prawdaż? Któż śmie mówić, że zna życie? Pyszałek, albo idyota!... Znamy tylko formy, przejawy życia; istota życia jest świadomością Boga. Życie człowieka tylko tyle jest warte, ile jest warta jego świadomość (idea) pracy twórczej. Mówić o życiu — znaczy hołd składać tej mocy, która życiu nadaje wyraz, zdecydowaną formę, sens moralny, t. j. o idei, o światopoglądzie! Idea, światopogląd — oto najwyższa sankcja życia. Chodzi o sens życia. Życie, które nie posiada sensu, jest wstępnym objawem parazytyzmu. Nie chodzi o to, aby żyć byle jak, lecz o to, aby żyć życiem Bożem! Życie bez idei moralnej, bez tego słońca moralnego systemu planetarnego, jest życiem trupa (księżycy)... Życie Maryawitów nie byłoby takie tragikomiczne, gdyby światopogląd maryawicki nie był tragiko-

miczny. Życie Niemiec współczesnych nie byłoby takie brutalne, gdyby niemiecka idea wychowawcza nie była brutalna, butna... O tem trzeba pamiętać. Z Bożego potencjału życia można stworzyć wzniosłość i mierność, nizkość — zależnie od przewagi złej lub dobrej woli człowieka. Wszakże najwyższem pragnieniem życia jest to, aby dobra wola zatryumfowała na ziemi. Z pracy narodów, które wymazano z pamięci historii, pozostały tylko pierwiastki dobrej woli, zaklęte w formę arcydzieł sztuki... Nikczemność została starta z oblicza historii minionych wieków. Historia przekazuje pokoleniom przyszłości tylko nasienie dobrej nowiny! Tak, zaiste...

Idea, tworząca formę, sens życia, jest koncepcją literacką, jest literaturą (w syntetycznem tego słowa znaczeniu). Między ideą a życiem od zamierzczenia trwa ten sam stosunek, jaki istnieje między mężczyzną a kobietą. Życie pragnie być zapłodnione światłem idei — chce mieć swój ideowy wyraz w oczach Boga. Kto pragnie, aby życie narodu było wielkie, potężne, królewskie, ten powinien to życie zapłodnić wielką, potężną, królewską świętą ideą! Na tem polega rozwój potęgi narodu. *Ex nihilo nihil...* Anormalny, powiedziałbym, patologicznie przekorny stosunek doczesnej literatury polskiej do życia narodu polskiego tem się tłumaczy, że życie narodowe Polski pragnie być zapłodnione ideą bohaterstwa, ideą „trudu trudów” (Mickiewicz) i ze wstrętem odrzuca lubieżne, sprośne, cyniczne, podłe, mierne umizgi większości doczesnych eunuchów literatury polskiej!... Tylko w tym duchu można mówić, o anormalności stosunku literatury do życia, p. Z. Wasilewski! Gdyby literaci polscy byli bohaterami na wzór Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Norwida (bohaterami w duchu dobrej woli, a nie w manii naśladowania) i życie narodu polskiego zapłodnili ideą potęgi, wiary, miłości, szlachetności, dostojności, ideą piękną moralnego, — o! niezawodnie życie narodu polskiego nie byłoby wyrzutem sumienia dla Was, panowie Z. Wasilewski i J. Gwałbercie Pawlikowski, którzy jeszcze nie rozumiecie, że mistyka Słowackiego jest realnym wyrazem pięknego życia bohatera, a nie tylko „piękną fantazją”, którą się bawią snoby w wolnej od wstrętnej politykomanii chwili!... (NB. Dla mnie, osobiście, legenda J. Zeyera p. t. „Samko Ptak” ma większe znaczenie dla rozwoju realnej świadomości życia, niżli studjum p. J. Gw. Pawlikowskiego o mistyce Słowackiego; wolę artystę, niżli snoba, popisującego się smaczną erudycją w chwili spożywania smacznego obiadu). Kto chce, aby życie narodu polskiego było piękne, bohaterskie, bogate duchowo i materialnie, ten nie powinien traktować jako „fantazyi” (sic!) pięknej idei polskiej, której sprawdzianem jest życie bohaterów, a nie ludzi miernych. Kto chce, aby żywot ludzi miernych był sprawdzianem idei życia, ten niech nie narzeka na mierność doczesnego życia polskiego. Cham „zapłodnił” życie polskie chamsstwa chwastem: cóż w tem dziwnego, że same tylko chamy w Polsce się rodzą, po obaleniu Mickiewicza — Jowisza z tronu?!... Czy nie mam racyi, panie Z. Wasilewski? Życie wielkie, życie królewskie — to, o które walczył zwłaszcza Mickiewicz, musi żyć w świadomości narodu polskiego (bez względu na stany, klasy, partye) — jako wielka idea pracy nie tylko w dziedzinie ducha, lecz także i w dziedzinie materialnej. Naród polski musi realizować ideę „trudu trudów” nie tylko w kierunku materialnym, lecz także i moralnym... Cała Zach. Europa znaj-

duje się w przededniu nieuniknionej katastrofy li tylko z tej przyczyny, że została naruszona równowaga między ideą pracy materialnej a ideą pracy duchowej. Im bogatszy jest Europejczyk, tem chciwszy jest złota; ideałem jego jest „Raubritter“. Chcąc uśmierzyć głód (złota) Europejczyka, trzeba być chyba alchemikiem i łajno ludzkie przemienić w złoto! Im bogatszy jest Europejczyk, tem głupszy jest i podlejszy. Bogatszy jest od Rzymian i Greków, a jednak buduje kamienice czynszowe, miast monumentów *sub specie aeternitatis*, — spekuluje, miast tworzyć! Handel uczynił ideałem życia — nawet handel duszami... Rozwój człowieka pchnął w jednostronnym kierunku — na jeden tylko biegun życia, który z nadmiaru obciążenia spowoduje katastrofę... Życie materialne musi być szarmonizowane z życiem duchowym, moralnem. Bez interwencji idei moralnej życia przynigdy się nie da rozwiązać kwestya socyalna. Doczesne życie materialne jest większą utopią, niżli marzenia najslawniejszych mistyków. Tak, panie Z. Wasilewski! Nawet Prometeusz socyologii nie potrafi rozwiązać doczesnej kwestyi socyalnej, opartej li tylko na sennyh marzeniach maniaków. Doczesna socyologia jest mistyczniejszą od teoryi J. Böhmeo, albowiem li tylko na materialnych podstawach chce ugruntować szczęście człowieka. Jeden tylko genialny łotr i zbój, jeden tylko Herostrates, jeden tylko Czingiz-Chan może to szczęście zburzyć! Francya przeżywa ten straszny kryzys... Jak się zabezpieczyć przed tym genialnym łotrem i zbojem, genialnym niszcycielem? Tylko idea życia moralnego, która wychowuje moralnie zdrowych ludzi, jest gwarancją szczęścia „sub specie aeternitatis“...

Kto nie umie, nie chce tworzyć idei własnego życia, ten staje się niewolnikiem cudzej idei życia. Nadaremno tęskni do swego Mojżesza... Tworzyć samego siebie — oto najwspanialszy obowiązek Polaka. Tworzyć siebie w pracy nieustannej, bohaterskiej!...

Niestety! Większość doczesnych eunuchów literatury polskiej stworzyła haremową „ideę“ życia i nazwała ją „duchem czasu“. Żąda odemnie abym się pokłonił temu bożkowi. Lecz ja mam moralną odwagę dać w pysk temu „duchowi czasu“ i zawołać: „nie będziesz cudzołożyl w myśli twej, matołku, z ideą życia narodowego Polski!“... Odkąd to „bohaterami“ dramatu, powieści, noweli, słowem, doczesnej literatury polskiej (z małymi wyjątkami) są łotry, zbóje, gałgany, waryaci i t. p.? Od chwili (odpowiadam), kiedy rosyjski „cham griaduszczij“ tryumfalnie wkroczył do duszy tych doczesnych eunuchów literatury polskiej, którzy się wykastrowali z idei Mickiewicza — jako „anachronizmu, zabobonu, obłądu“... W pysk daję temu „duchowi czasu“. Eunuchem, zbierającym okruszyny ze stołów Arcybaszewa, Andrejewa, Sołłohuba, być nie chcę. Rosyjskiej biurokracyi wolno romansować z „matuszką świnią“: na papierze jest „niepodległa“ (republikańska Francya dumna jest z tego powodu). Atoli Polak, realizujący w literaturze polskiej „ideały“ Mienszykowów jest... jest chyba wściekłym knurem...

Kto wie, może jedyną tragikomedya literackiej Polski doczesnej jest to, że naruszono, pogwałcono prawo ciągłości życia polskiego, prawo powinowactwa idei, myśli twórczej. Zagubiła się (w Polsce literackiej) świadomość ciągłego życia idei polskiej; zrodziła się natomiast przekorna mania czynienia na złość idei przeszłości. Zapomniano, że naród polski musi mieć nie tylko prostą, lecz także i czystą linię

życia, że musi mieć możliwie najczystszy wzrok historyczny, że praca jego musi wypływać z żelazną konsekwencją z ciągłości pracy wieków!... Dla chwili, dla momentu, dla nastroju poświęca się ciągłość życia: oto tragikomedia! Prosta linia umysłu, czystą linię życia przekornie wykrzywiono, aby były „ciekawe“, „nowe“... „*Linea curva*“ (linia krzywa) życia — oto ideał większości doczesnych literatów polskich. I nie dziw, że życie polskie w chwili obecnej nosi miano „*vita curva*“ (życie krzywe)... Nieprawie stosunki doczesnych literatów z życiem polskim znieprawiły samą wolę życia. Miłość jest zawsze czysta. Niechlujną jest tylko chuć. I bezpłodną także... Kto naprawdę miłuje naród, ten niech piorunami i błyskawicami zapłodni życie Polski — Albowiem Polska pragnie wielkiej burzy oczyszczenia! Sapienti sat...

*

Tylko u nas, w Polsce, może istnieć sporna kwestya stosunków literatury do życia i odwrotnie. Chorzy jesteśmy na rozdwojenie jaźni: marzenia nie umiemy pogodzić z pracą twórczą. Z literatury, a zwłaszcza z poezyi zrobiliśmy przedziwny „ogród marzeń“, kaplicę lenistwa umysłowego i *sui generis* sybarytyzmu. Nie chcemy, czy nie umiemy jasno sobie zdawać sprawy, że literatura (w najgłębszem tego słowa znaczeniu) jest jedną z najwspanialszych form życia — jako organizacya świadomości, jako wola twórcza, będąca w ciągłym konflikcie z rzeczywistością, która pragnie martwoty!... Błędem naszym jest to, że aż nadto serwilistycznie traktujemy samo pojęcie rzeczywistości. Nie chcemy wiedzieć, że rzeczywistość jest taką, jaką ją ludzie tworzą, że jej wartość zależy od wartości umysłowej i moralnej ludzi. W swej naiwności posuwamy się tak daleko, że od ludzi genialnych żądamy, aby uznali rzeczywistość nędzy i upadku za swoją własną rzeczywistość; kusimy do upadku wolę twórczą, która ciągle przekształca rzeczywistość w kierunku doskonałości. Z tej przyczyny wyrodziła się w Polsce mania dziwactw, a zwłaszcza mania małpiego naśladowania cudzej rzeczywistości. Miałoby być naszą polską przyszłość, grzęźniemy w błocie rzeczywistości!... Zapominamy, że tyle tylko mieć będziemy, ile sami stworzymy. Sami musimy stworzyć to życie, które jest przedmiotem naszej tęsknoty... Wiemy, że przecież Literatura wywołała wielką Rewolucyę francuską (nie mówiąc już o rosyjskiej), zrodziła maryawityzm w Polsce, sekciarstwo w Rosyi... Wiemy, że przecież Literaturą są wszystkie programy partyjne, wszystkie ideologie życia... Wiemy, że przecież Literaturą jest „zasada“ wychowania społecznego, a nawet prawo państwowe... Wiemy o tem, a jednak bezmyślnie gadamy o różnicach, istniejących między Literaturą a życiem... Literatura organizuje życie w kierunku ideowości. Literaturą są nie tylko księgi święte narodów ziemi, ale także i życie rodzinne tych narodów, w duchu przykazań tych ksiąg świętych zorganizowane. Przecz że o tem zapominamy? Wolno nam mówić o wartości Literatury; nie wolno kwestyonować znaczenia Literatury dla życia. Odrzucajmy Literaturę podłą, nikczemną — jako pokusę do upodlenia; realizujmy w życiu Literaturę bohaterstwa, czynu!... Życie społeczne kształtuje się według literackich wzorów. Tak było, tak jest i tak będzie. Rewolucyjnym jest światopogląd James'a w stosunku do naszej rzeczywistości; poetyczna koncepcya Bergsona już przekształca naszą rzeczywistość. A Nietzsche czy nie

wywołał rewolucji w sferze naszej rzeczywistości? Zastanówmy się, z czym walczymy... Tępy, bezmyślny kult rzeczywistości, mania schlebiana motłochowi, żądza taniej popularności i poczytności (NB. Literaci polscy wnet zaczną pisać utwory „artystyczne“ w żargonie „antków“ krakowskich i łyczakowskich i „frajerów“ warszawskich), zasada przystosowania się, dogłupiania się do poziomu motłochu — już bankrutują haniebnie. Już na samą myśl, że inteligentny analfabeci (80% — groza!), człowieka rozpacz ogarnia. Rzeczywistość polska jest niewolą, a więc wstydem. Kult tej rzeczywistości jest kultem niewoli!... Zidyocieć z nadmiaru miłości dla narodu — to ci dopiero „ofiara“ idyoty! Takiej „ofiary“ nawet Jehowa nie żądał od Abrahama... Trzeba być pokornym i przyznać, że Literatura oświeca, kształci, upiększa rzeczywistość, stworzoną przez durniów i analfabetów.

Chorujemy na manię przekorności. Zwolennik pracy fizycznej drwi z pracy umysłowej; i odwrotnie zwolennik pracy umysłowej szydzi z pracy fizycznej. Żaden z narodów zach.-europ. nie choruje na tę wstętną manię. Trzeba być matolkiem, aby „naukowo“ dysputować na temat: jaka literatura jest pożyteczniejsza dla narodu — przemysłowa, czy ideowa? U nas, w Polsce, dysputa na ten temat stała się manią...

Znam pewnego księdza, który fanatycznie zwalcza mistykę, sam zaś sprzedaje „mleko M. Boskiej“ oraz „bilety do raj“u“. Fenomenalny typ matółka klerykalnego!

Znam pewnego dziennikarza, który z życia robi wstętną literaturę partyjną, sam zaś jest wrogiem literatury pięknej. Fenomenalny typ kretyna partyjnego!

Znam wielu ludzi, którzy na handlu literaturą dorobili się majątku, a jednak mają czelność gardzić literaturą...

Jesteśmy bardzo zdeprawowani; udajemy „niewiedzę“, że największymi literatami są przecież mernerzy partyjni, agitatorowie, posłowie do parlamentu, dziennikarze, mężowie stanu, że największymi poetami są królowie! Sami żyjemy literackimi zabobonami, przesadami, nałogami i mamy odwagę kpić z literatury!... Najpraktyczniejszy John Bull jest najzabobonniejszym stworzeniem pod słońcem. Praktyczny w fabryce Anglik jest wstętnie obłudnym literatem w życiu towarzyskim i rodzinnym... Amerykański fabrykant kiełbas z kocięgo mięsa pragnie być poetą, artystą (w tym celu zabudował najpiękniejsze zakątki Włoch swymi willami), a nasz polski „artysta“ z rodziny panów Nowaczyńskich pragnie być amerykańskim fabrykantem kiełbasek parowych z mięsa „Trójcy romantycznej“... Curiosum — nie prawdaż?

Chcąc „namacalnie“ przekonać doczesnych literatofobów, że prawdziwa Literatura i Sztuka wzbogacają życie społeczne, trzeba na jeden rok zamknąć wszystkie teatry, muzea, filharmonie, a zwłaszcza drukarnie i księgarnie. Wówczas dopiero nasi literatofobi zrozumieją, że bez Literatury i Sztuki życie jest... straszną katogą!...

Nie wolno być jednostronnym. Trzeba pamiętać, że zwłaszcza dla odradzających się narodów (Czechy, Litwa, Ruś) Literatura miała i ma wielkie znaczenie. Wymownym przykładem są Litwini, którzy nawet w *Witoloraudzie* Kraszewskiego odnaleźli zagubione pierwiastki swej świadomości narodowej. A znaczenie Szewczenki dla Ukraińców? O wielkiem znaczeniu twórczości Voltaire'a, Rousseau'a, Renana (ojca doczesnej Francji), Goethego, Schillera,

Mickiewicza i t. d. mówi najlepiej sama historia ruchu społecznego!... Niewysławienie przykro mi łopata do głowy kłaść te prawdy.

Wszystko, co wypływa z twórczej myśli, z twórczego serca, co wzbogaca świadomość życia, ma rację istnienia. Ginie tylko praca destruktcyjna, niszczycielska. Idea twórczości tryumfuje w pełni życia — nie tylko w handlu i przemyśle, lecz także i w Literaturze. Zresztą nawet handel nie może egzystować bez swojej własnej idei, literatury... Trzeba uszanować podział pracy bez manii konkurencyjnej. Miał piskować na Literaturę, lepiej zwalczajmy tych, którzy niechlujną myślą swoją zanieczyszczają wielką ideę życia... Nie literat, nie poeta, nie artysta jest nie- szczęściem Polski, panie Z. Wasilewski, lecz dziennikarz, który w ostatnich latach panoszy się, gdyby osioł, w ogrodzie kultury narodowej. Nie literaci, lecz dziennikarze ogłupili Polskę tandetą wiedzy, a zwłaszcza kultury. Największą klęską chwili obecnej jest to, że dziennikarz jest panem narodu polskiego. Dziennikarstwo — gdyby szarańcza — wyżarło w duszy narodu polskiego najwznieślijsze kwiaty kultury. Dziennikarstwo zdeprawowało nie tylko życie, lecz także Literaturę i Sztukę polską... Dziennikarstwo sprostyowało życie... Miał pisać o anormalnym stosunku Literatury do życia, radzę panu, panie Z. Wasilewski, napisać specjalne studyum o potwornym stosunku dziennikarstwa (zwłaszcza partyjnego) do życia. A wówczas staniemy na prostej drodze, prowadzącej do porozumienia. Albowiem Polska tonie w bagnie dziennikarskiej błagi, tandety i perfidy. Za dużo w Polsce tandety, panie Z. Wasilewski.



Wyrodziła się w Polsce osobliwa mania nowości, mania naśladowania cudzej rzeczywistości. Większość doczesnych „ojczulków“ narodowych nawnie mniema, że wystarczy pomalować rzeczywistość polską na kolor n. p. francuski, aby ta rzeczywistość była lepszą. O kolorach „ex oriente“ nie warto nawet mówić. Nie jesteśmy zdolni przemyśleć żadnej sprawy do końca. Lubujemy się w nieskończoności kropek. Umiejemy tylko poetyzować i logować... Przezuwając obce, już przeżute, wyplute myśli, łudzimy się, że tworzymy coś nowego... Utraciliśmy poczucie narodowego stylu i rytmu życia. Dręczy nas brak zdecydowanego światopoglądu. Jesteśmy wandalami, niszczycielami w stosunku do przeszłości... Z Krakowa chcemy zrobić przedmieście Wiednia, z Warszawy — przedmieście Paryża, ze Lwowa — przedmieście Chicago... Tracimy poczucie własnej oryginalności, indywidualności. Kulturalnie przybudo wujemy się do obcych kultur! O wstydzie, o hańbo! Polska — jako przybudówka do stylu obcych kultur... Haniebnie mści się na nas pogarda dla stylu historycznego życia narodu...

Reakcyja neo-klasyków francuskich przeciwko J. Rousseau'owi i jego szkole, przeciwko romantyzmowi V. Hugo ma przynajmniej uzasadnienie: najwyższymi przejawami raso wej kultury francuskiej byli Corneille i Racine, którzy stworzyli styl życia narodowego Francji.

U nas, w Polsce, reakcyja przeciwko Mickiewiczowi, jedyemu przedstawicielowi klasycznego stylu życia narodowego, obłudem jest. Neo-klasycy francuscy przeciwstawiają Rousseau'owi Corneille'a i Racine'a. A my

kogo przeciwstawimy? Czyżby (risum teneatis!) A. Neuwerth-Nowaczyńskiego?!... A może Wyspiańskiego?!... Sami podkopujemy podstawy naszego życia. W pogoni za nowością błądzimy po bezdrożach... „Co wolno wojewodzie, to nie tobie...” Francja jest państwem niepodległym; wolno jej szaleć i bzikować (znamy tę historię — drogo zapłaciliśmy za nią)... Polska dąży do niepodległości; nie wolno jej bzikować na wzór Paryża. Polacy sami muszą stworzyć swoje życie niepodległe: ten ci jest wielki obowiązek... Łatwo przebumblować życie narodu, lecz trudno je stworzyć, odkupić.

Zmieniły się (pod przymusem) społeczne warunki bytu naszego, zgoda; lecz się nie zmieniły warunki polityczne. Świadomość tragicznych warunków egzystencji politycznej dla wielkiego pisarza Polski jest decydująca. Ta świadomość była, jest i będzie kamieniem węgielnym Literatury polskiej! Komentarze są zbyteczne. Naprawdę narodowa literatura polska ze źródeł tragedii Polski czerpać będzie natchnienie do wolnego, prometejskiego lotu... Społeczne warunki bytu *mutatis mutandis* są wspólne wszystkim narodom Europy. Duch literatury, uzależnionej li tylko od społecznych warunków bytu, jest kosmopolityczny. Życie narodu polskiego w najgłębszych przejawach swoich tragedią jest...

Owszem, budujemy „coś nowego”, ale *sub specie aeternitatis* — na fundamencie „pracy wieków” — w stylu naszej wielkiej, równej Grecji, tragedii. Jeno tylko przestaniemy budować „czynszowe domy” tam, gdzie stać powinna świątynia moralnej niepodległości naszej — wielki monument naszej Dumy narodowej. A wówczas nie będziemy zebrali uznania Paryża... Szanujmy siebie, jeżeli chcemy, aby nas szanowano!... Europie imponuje twórczość, a nie tandeta...

*

„Wielkie myśli pochodzą z serca. Pobudzenie uczucia jest koniecznością dla rozbudzenia i zapłodnienia umysłu”...

Kto wie, może największą tragedią, jaką przeżywa świat w chwili obecnej jest konflikt rozumu z sercem. Pyszałkowaty rozum parweniuszów nie chce mieć żadnej wymiany twórczej z sercem, nie chce być zapłodniony wielką myślą, pochodzącą z serca...

Biada człowiekowi, jeżeli między rozumem a sercem utworzy się przepaść nie do przebycia. Oszaleje, myśląc nad wynalezieniem osobliwego aeroplanu...

Dla literata, który ma serce, który umie miłować, kwestya stosunku Literatury do życia jest jasna, czysta, wolna od dramatyczności. Literatowi, poecie, artyście, którzy miłują życie, samo życie się oddaje Miłować znaczy tworzyć...

Z serca płyną wielkie myśli, rozbudzające umysł narodu. Z serca musi płynąć odrodzeniowa Literatura polska...

Lepiej szaleć z nadmiaru miłości, niżli marnieć z nadmiaru zimnego rozumu. Rozum bez moralnej sankcji serca nie ma żadnej mocy życiowo-twórczej. Jest zimny, odpychający. Jest postrachem dla światła. Z wyciężką rozum, uzbrojony w miłość!...

Największym twórcą życia jest Poeta Miłości!

J. ALBIN HERBACZEWSKI.



ADMINISTRACJA, EKSPEDYCJA I PRZYJMOWANIE
OGŁOSZEŃ W KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO
W KRAKOWIE, RYNEK GŁÓWNY LINIA A-B. TAM TEŻ
ADRESOWAĆ NALEŻY LISTY I PRZESYŁKI DO REDA-
KCJI. PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ NADTO WSZYSTKIE
WIĘKSZE KSIĘGARNIE POLSKIE.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO I ROSYĘ: WARSZAWA
KSIĘGARNIA G. CENTNERSZWERA I SKI - Marszałkowska 143.

RYDWAŃ UKAZUJE SIĘ CO 15. KAŻDEGO MIESIĄCA
W OBJĘTOŚCI NINIEJSZEGO ZESZYTU.

PRENUMERATA WYNOSI:

ROCZNIE K. 12—, PÓŁROCZ. K. 6—, KWARTALNIE K. 3—
W W. KSIĘSTWIE POZNAŃSKIM:
ROCZNIE MK. 10·50, PÓŁROCZ. MK. 5·50, KWART. MK. 2·75
W KRÓLESTWIE POLSKIM:
ROCZNIE RB. 5—, PÓŁROCZ. RB. 2·75, KWART. RB. 1·50

ZESZYT ODDZIELNY K. 1·20.

OGŁOSZENIA: ZA CAŁĄ STRONĘ JEDNORAZOWO 50 K., ZA PÓŁ STRONY
K. 30, ZA ČWIERĆ STRONY K. 15. ROCZNIE 25%, PÓŁROCZNIE 15%. ZNIŻKI.

REDAKTOR I WYDAWCA:
CEZARY JELLENTA (CEZARY HIRSZBAND).

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: DR. KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI.

czas. 3667 1912/4
CZASOPISMA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH

J. WŁ. DAWID: *INTELLIGENCYA, WOLA I ZDOLNOŚĆ DO PRACY. Z RYSUNKAMI.* 1911, STR. XVI + 691. CENA K. 9 (RB. 3-50).
TENŻE: *O INTUICYI W FILOZOFII BERGSONA. ODBITKA Z „KRYTYKI“.* 1912. CENA HAL. 60 (KOP. 30).

JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI: *I NIE WWÓDŹ NAS W POKUSZENIE (SZKICOWANE WIZERUNKI DUSZ WSPÓŁCZESNIE WYBITNYCH NA TLE MYŚLI DZIEJOWEJ).* KRAKÓW 1911. CENA KOR. 3.
GŁOS BÓLU (SPRAWA ODRODZENIA NARODOWEGO LITWY W ZWIĄZKU ZE SPRAWĄ WYZWOLENIA NARODOWEGO POLSKI). KRAKÓW 1912. CENA KOR. 3.

KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI: *FILOZOFIA CYPRYANA NORWIDA. (ODBITKA ZE „SFINKSA“).* WARSZAWA 1911.

WYSZŁY Z DRUKU KSIĄŻKI CEZAREGO JELLENTY:

DRUID JULIUSZ SŁOWACKI. NAKŁADEM FELIKSA WESTA. BRODY-LWÓW. 1911. STR. 225. CENA K. 3-50.

GRAJĄCY SZCZYT. STUDYA SYNTETYCZNO-KRYTYCZNE. („NIE PIEŚŃ SEN, LECZ PIEŚŃ MOCARZA“. KONCEPCYE POLSKI. PROROCTWO MICKIEWICZA. DZWONY CHOPINA. DONATELLO SZTUKI POLSKIEJ. RZEŻBY DUNKOWSKIEGO. JACEK MAŁCZEWSKI. BYZANTYNIZM A KRYTYKA. MODERNIZM. MIŁOŚĆ A GINĄCY ŚWIAT. DWIE HISTORYE KUPIECKIE. GRAJĄCY SZCZYT). NAKŁADEM S. A. KRZYŻANOWSKIEGO. KRAKÓW 1912. STR. 230. KOR. 4-50.